

ŚWIAT

Na św. Franciszka zielenią się łany
I ze swego legowiska wracają bociany.

Na św. Wincenty, nieraz mrozek cięty.

Pogoda w Kwiecnię Niedzielę —
Wróży urodzajów wiele.

W Wielką Środę, gdy żaba zakuka,
Już nas zima mrozami pewno nie oszuka.

Jeśli w Wielki Piątek deszcz kropi,
Radujcie się chłopci.



ICEK PODWÓJNY.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

(Dokończenie).

Bywało... różne rzeczy bywały, różne sprawy, różne interesa! Kiedyś, kiedyś, tam za morzami, kiedy Icek będzie już trochę starszy i ogromnie bogaty, kiedy sobie usiadzie w swoim salonie wspaniałym, albo latem przed chałupą na progu, kiedy go otoczą wnuczki i prawnuczki, to on im dopiero będzie opowiadał o dawnych czasach, o miasteczku swoim rodzinnym, o Trzęsidlach, o tej szlachcie co hałasuje i daje się skubać, o tych głupich chłopach, z których można dużo pożytku wyciągnąć, o przedziwnych kombinacjach z okowitą, wodą, mąką, piaskiem, zbożem, ze śmieciami, o dziwnych sprawach, bardzo tanich kupnach drogich rzeczy, o takich koniach co ginęły i znajdowały się i znowu ginęły, o takich sprawach, co zdawało się, że nic nie warte a były dużo warte, o dziwnych licytacjach, o takim kraju, w którym można budować pałace z zajęczych skórek i przerabiać starą garderobę i lachmany na wielkie kapitały.

Icek będzie opowiadał, a delikatne wnuczki, otworzywszy usta, podziwiać będą mądrość dziadka i jego doświadczenie życiowe. On im powie też trochę o dzikim czarnym ptaku, co się nazywa wrona, o dzikim zwierzęciu zwanem pies, o różnych chłopach co pokapcanieli, co umieli doskonale pić gorzałkę i robić awantury w szynku.

Czuje już Icek smak tej starości rozkosznej, tej pociechy z wnuczków, tego honoru, jakiego będzie zażywał... Czuje, cieszy się i już wyjeżdża... wprawdzie nie za morze, ale o trzy mile drogi, do swego familianta w innym miasteczku. Trzeba się pożegnać. Nie można wyjechać tak niegrzecznie, nie powiedziawszy krewnym i przyjaciółom: »bądźcie zdrowi«.

Familiant siedział na progu i fajkę palił, kiedy Icek przed dom jego zajechał. Przywitali się przystojnie, bez gwałtownych uniesień radości, jak wypada mężom poważnym i bogobojnym.

Icek zlaźł z fury, familiant wcale się nie ruszył z progu.
— Dzień dobry wam, Mojsie — rzekł Icek.

- Dobry rok wam, Icku — odrzekł Mojsie.
— Ja przyjechałem.
— Ja to widzę.
— Dlaczego ja nie miałem przyjechać?
— Dlaczego ja nie mam to widzieć?
— Ja przyjechałem za interesem.
— Kto jeździ bez interesu?
— Usiadłbym trochę, poszedłbym do izby.
— Dlaczego nie? idźcie sobie do izby.
— A wy, Mojsie?
— Ja mam chęć siedzieć tutaj.
— To i ja siadę tutaj.
— Siadajcie Icku, to was posili po podróży.
— Dziękuję. Wam wiadomo zapewne, że ja mam chęć pojechać za morze. Gadają tak, gadają owak, ja wiem, że tu jest całkiem pfe. Chcę jechać. Co wy myślicie o tem?... mam jechać?
— Dlaczego nie macie jechać?
— Ale czy to będzie dobrze?
— Zobaczycie na miejscu. Co to komu szkodzi, że zobaczycie jak tam jest. Owszem, piszcie ztamtąd list, ja wam zwrócę za markę, a jak ja go dam innym do przeczytania, to oni mi zwrócą za markę. Znacie moje położenie, jestem człowiek niezamożny, nie chciałbym do tego interesu dokładać.
— A wy nie wybieracie się w drogę?
— Tymczasem nie.
— Dlaczego?
— Wolę czekać.
— Na co wy macie czekać?
— Niech kto wpierw spróbuje. Oto wy jedziecie naprzykład, wy spróbujecie. Kiedy odjeżdżacie Icku?
— W tych dniach.
— To szkoda jest.
— Dlaczego ma być szkoda?
— Miałem dla was dobry, bardzo dobry interes.
— Weźcie go sami.
— Nie mam tyle pieniędzy, trzeba mi współnika. Myślałem o was, nie chcąc takiego geszeftu z familii wypuścić.
— Cóż to za interes?
— Na co mam gadać, przecież za morzem nie możecie być moim współnikiem.
— Dlaczego nie mogę?
— Z dalekiego świata nikt interesu nie może prowadzić, a chcąc z bliższego prowadzić, to trzeba blisko być. Ja się bardzo dziwię, że wam, Icku, taką prostą rzecz trzeba tłómaczyć.
— Wy się bardzo mylicie, Mojsie; wasze słowo tymczasem jest tylko puste słowo, o interesie ja jeszcze nic nie słyszałem.
— Na co?
— Jakto na co? niechbym wiedział, czy mój świat od niego bliski, czy daleki?
— Ej! ej!
— Ja chcę słyszeć.
— Chcecie słyszeć?... słuchajcie. Wy znacie dobrze Wywłokę?
— Dlaczego nie mam znać?
— Tam jest ładny kawałek młyna.
— Prawda... żebyśmy tak ładne zdrowie mieli. Ja ten młyn znam. On jest na cztery ganki, sprawiedliwy młyn. Można przy nim zrobić i tartak.
— Sprawiedliwe jest wasze słowo; ja sam myślałem, że tam pasuje zrobić tartak. Wyście dobrze powiedzieli, Icku.
— Jabym tam jeszcze założył przy młynie maleńką, bardzo maleńką karcznię. Tylko nie wiem, czy można?
— Ja już to wywachałem.
— No i co?
— Bardzo można. Widzicie Icku, teraz uważajcie tylko; tylko dobrze uważajcie.
— Uważam.
— W tej Wywłoce siedzi szlachcic. On siedzi, niech nasze wrogi tak mocno siedzą! On ma wcale nie-mocne siedzenie. Był u mnie temu dwa tygodnie, chciał mi puścić ten młyn na sześć lat, bardzo tanio, aby tylko dostał pieniądze z góry. Kontrakt hipoteczny.
— Co wyście powiedzieli?
— Jak pasuje w takim interesie. Powiedziałem naprzód, że jabym wolał wziąć propinację, po drugie, że do młyna mam obrzydliwość, a po trzecie, że wcale nie mam pieniędzy.
— To wyście bardzo dobrze powiedzieli.
— Ja zawsze bardzo dobrze mówię.
— A on?
— On piszczał, okrutnie piszczał... a że ja nie mogę to słuchać jak kto piszczy, więc powiedziałem

mu, że się namyśle i że będę szukał pieniędzy. Chciałem do was pisać, żebyście ze mną mieli spółkę, ale wy chcecie jechać za morze, to już jest inny interes.

Icek zaczął gładzić brodę.

— Słuchajcie, Mojsie — rzekł — ile szlachcic chce rocznej dzierżawy z tego młyna?

— On dużo chce, on chce tysiąc rubli...

— Ja wiem, że Niemiec płacił półtora.

— Ale nie dawał za sześć lat z góry! Ja powiedziałem, że w takich warunkach to jest bardzo wyciągnięta dzierżawa; można dać najwyżej siedmset i to więcej przez życzliwość, aniżeli dla zysku. Czy ja miałem rację?

— Sprawiedliwe wasze słowo.

Nastało długie milczenie. Obaj kuzynowie palili fajki z wielką rozważą i spokojem, patrząc na wróble skaczące po ulicy. Icek doznawał rzewnego wrażenia, zdawało mu się, że ten młyn w Wywłoce, właściwie nie jest w Wywłoce, lecz w owym błogosławionym kraju za morzem, że tam właśnie w tym młynie jest owo piękne życie, spokój, majątek, poszanowanie, honor. Czy za morzami trafi się taki doskonały interes?

— Mojsie! — rzekł Icek.

— No?

— Ja myślę, że ten młyn trzeba obejrzeć...

— Jak chcecie?

— Co to zaszkodzi, jak ja go zobaczę?

— Myślę, że ani młynowi, ani wam.

— To jedźmy.

— Oba?

— Tak, wy i ja...

— Więc chcielibyście wejść do spółki ze mną?

— Niechno ja widzę interes.

— Dobrze, obaczcie. Czy pojedziecie sami, czy ja mam też z wami jechać?

— We dwóch lepiej. Pojedziemy obadwaj.

Kuzynowie wcale nie bałamucili; wybrali się w podróż bardzo prędko i stanęli w Wywłoce zaraz, bo odległość była wcale niewielka. Icek znał trochę tę Wywłokę, ale teraz przyglądał się jej uważniej. Bardzo mu się miejscowość podobała. Wioska i dwór były trochę wyżej, na niewielkiem wzgórzu, młyn niżej, w kotlinie pod lasem. Gościniec ciągnął się koło samego młyna. Dwa stawy łączyła niezbyt szeroka rzeczka, ujęta w szluzę. W szluzie zbierało się dużo wody, która, gdy otworzono stawidła, z wielkim szumem i łoskotem spadała na koła. Kół było trzy, wszystkie jeszcze w dobrym stanie, mocne, porządne koła. Niemiec nie dał im się psuć, reparował zawczasu. Dom, w którym się młyn mieścił, był taki sobie, ani za duży, ani za mały, w samą miarę, trochę okurzony od mąki, jak zwykle młyn.

Kiedy kuzynowie przybyli do Wywłoki, już słońce było na zachodzie, woda świeciła się jak złoto, czasem rzuciła się duża ryba.

Mojsie trącił Icka w ramię.

— Widzicie? — zapytał — jakie się tu szczupaki rzucają?

— Szczupaki?

— Na moje sumienie, szczupak to jest doskonała ryba... Obyśmy ją we spółce spożywali i oby nam poszła na zdrowie.

— Daj Boże... daj Boże... czy ja tego nie chcę? owszem, ja bardzo pragnę.

— Jabym wolał nie pragnąć, wolałbym wziąć cały ten interes na siebie; ale nie mam kapitału tyle co potrzeba.

Obejrżeli całe terytoryum, porozumieli się co do warunków spółki, potem poszli do dworu. Tam siedzieli kilka godzin, bo przeprawa była ciężka. Szlachcic wcale nie miał ochoty dać się zarznąć, dwaj kuzynowie zaś uparli się, aby mu koniecznie zrobić tę nieprzyjemność. Było z tego powodu małe nieporozumienie, bo tamten jegomość miał temperament gwałtowny, a Mojsie i Icek odznaczali się łagodną słodyczą i stałością, która zawsze zwycięża.

Doprawdy, jeżeli się komu zdaje, że łatwo jest wziąć w dzierżawę młyn na dogodnych warunkach z jakąś bonifikacją za opłacenie czynszu z góry, jeżeli się komu zdaje, że to bagatela — to mu się źle zdaje. To jest ciężka praca, niezmiernie ciężka.

Z początku było cicho i spokojnie, szło wszystko delikatnie; potem szlachcic zaczął hałasować, jak zwyczajnie w handlu; nawet puścił ręce w ruch. Ta szlachta taka gwałtowna! Z początku Icek wyleciał za drzwi, potem wyleciał Mojsie. Potem obaj wrócili i znowu wylecieli obaj. Następnie Icek tłumaczył szlachcicowi, że wszystkim jest winien Mojsie, a po chwili Mojsie tłumaczył, że takiego paskudnego żyda jak Icek w życiu swoim nie widział i nie zobaczy. Hardy, skąpy i gwałtownik niesłychany. Onby chciał odrazu człowieka zjeść, zamiast gryźć go po kawałeczku, powoli. Szlachcic już nie krzyczał, tylko sapał; Mojsie i Icek mieli mocne poty, a twarze ich stały się całkiem czerwone, jak gotowane raki. To jest praca, bardzo ciężka praca! Kto tego nie zna, to nie rozumie, a kto nie rozumie, to nie zna.

Taki interes ma dwie części: jedna jest gadana, druga pisana, ale przy pisanej bywa także duże, bardzo duże gadanie. Pióro z ręki leci pod stół, z pod stołu znowu do ręki; zadatek co się pokazuje, to się chowa, zupełnie tak samo jak słońce — i wtenczas dopiero człowiek doznaje pewnej ulgi, wtedy dopiero czuje cokolwiek powietrza w piersi, gdy może powiedzieć: »Siojn, niech ja stracę!« Wówczas z głowy jego spada wielki kameień, z pleców cała góra się zwala... Jest mu lekko, oddycha zupełnie jak człowiek ciężko chory po powrocie do zdrowia.

Kiedy Icek i Mojsie powiedzieli swoje, to im góry z pleców pospadały, ale zarazem uczuli taką czczość, takie ściskanie w dołku, że postanowili zaraz pójść do karczmy i napić się wódki — tylko wyniknęła pomiędzy nimi kwestya, kto za nią zapłaci. Icek wcale nie chciał ponosić na to wydatku, a Mojsie zupełnie nie miał chęci; wprawdzie jako wspólnicy mogliby kupić sobie gorzałki do wspólki i to byłoby sprawiedliwie, ale po wielkim namyśle uznali, że będzie dużo sprawiedliwiej, jeżeli wódki da szlachcic. Zrobił doskonały interes, dostanie pieniądze za sześć lat z góry, dlaczego więc nie ma poczęstować dwóch poczciwych ludzi? Pokrzepili się tedy Icek i Mojsie tanim kosztem — kosztem delikatnej przymówki — i obaj dopiero uczuli, że im dobrze jest.

Powracając do miasteczka, rozmawiali o młynie i zyskach, jakie osiągną, tworzyli całe góry kombinacji, morza obliczeń, a potem gawędzili sobie o rzeczach ogólnych. Mojsie robił Ickowi delikatną wymówkę za zamiar wyjazdu.

— Dalibóg, Icuńiu — mówił — mogę ci to szczerze powiedzieć, że ów wyjazd nie robił wielkiego honoru twojej głowie.

— Co chcesz od mojej głowy?

— Jakto co? Czego człowiek chce od kozy? trochę mleka. Czego żąda od głowy? cokolwiek rozumu.

— Chcecie powiedzieć, że ja jestem głupiec?

— Nie chcę tego mówić, broń Boże, ale myślę sobie, że w tym interesie wasz rozum był chyba wypuszczony w dzierżawę, jak ten młyn w Wywłoce.

— Pfe! co to za gadanie!

— Wleźcie-no, Icku, sam w siebie i pogadajcie ze swoją duszą; jeżeli ona wam powie, że mieliście recht, to ja się będę bardzo dziwił, a jeżeli wam powie co innego, to wy się nie będziecie dziwili, jakim sposobem takie głupstwo mogło wam wejść do głowy.

— Posłuchajcie, Mojsie, co ja wam powiem.

— Dlaczego ja nie mam posłuchać co wy powiecie? Owszem, możemy sobie o tym interesie pogadać całkiem porządnie.

— Wiadomo wam pewnie, a jeżeli nie wiadomo, to się odemnie, bez żadnej dopłaty możecie dowiedzieć, że nie ma na świecie takiej maszyny, takiej dziwnej mechaniki, takiej kupy kombinacji, jak jest człowiek.

— Co to za gadanie?... człowiek jest człowiek.

— Mojsie! wam się tylko tak zdaje!

— Co to jest »zdaje?« Fe! Icku, fe! jeszczeście nie dojechali do Ameryki, a już zaczynacie mówić, jak jaki paskudny apiskures. Co jest człowiek?... Alboż w piśmie nie stoi, że człowiek jest człowiek, a nie tak jak wy powiadacie: mechanika.

— To prawda, ale i to, co ja mówię, to też jest prawda.

Mosiek ramionami wzruszył.

— Nie wiem, co chcecie powiedzieć.

— Czy na przykład Mendel jest człowiek?

— Pytanie!

— A żyd on jest? a pachciarz on jest? a nabożnik on jest?

— Jest, jest, co chcesz?

— Chcę pokazać, że Mendel jako człowiek, prócz tego, że jest człowiek, jest także żyd, jest pachciarz i jest nabożnik. Jeżeli powiedział, że człowiek jest to kupa kombinacji, to nie znaczy, żeby wszystkie kombinacje miały iść z tego człowieka, co o nim w piśmie stoi. One mogą sobie wychodzić trochę z żyda, trochę z pachciarza, trochę z nabożnika i tak też one wychodzą. Ja się dziwię, że taki prosty interes trzeba wam wypychać do głowy z wielką forszą, jak klin w sękaty kawał drewna.

— Mówcie wy trochę delikatniej, Icku.

— Niech to was nie obraża, ja powiedziałem tylko dla przykładu.

— Wybierajcie trochę porządniesze przykłady, ja was bardzo proszę, mój Icku.

— Nie, Mojsie, tu nie potrzeba się ani gniewać, ani mieć pretensyi, bo interes jest prosty. Powtarzam wam, że człowiek jest człowiek. Jego Pan Bóg stworzył, on taki jest, ale oprócz tego on jest żyd. A czy żyd ma mało kombinacji? on jest nabożnik, a czy wiecie jak wielkie są kombinacje nabożnika? one idą szeroko, po całym świecie i idą wysoko do samego nieba. A teraz weźcie na uwagę kombinacje pachciarza! Sami byliście pachciarzem, w naszej rodzinie było ich... stu, może tysiąc pachciarzów. Wiadomo wam, kochany Mojsie, że mało ludzi na świecie ma tyle interesów co pachciarze: od krowy do szlachcica, od skórki zajęczki do okowity, od wełny do zboża, pachciarz wszystko umysłem swoim obejmować musi. Z tego powodu z jego głowy wychodzą kombinacje wielkie, a jeżeli dodacie do tego kombinacje żyda i kombinacje uczonego nabożnika, to przekonacie się, że człowiek jest cała mechanika i wielka kupa kombinacji. Może nieprawda?

— Może i prawda.

— Ja wam powiadam, że prawda.

— Ale do czego, Icku, wy prowadzicie te rozmowy? Którędy idzie bieg naszych myśli? Dlaczego on wykręca na prawo, na lewo, a nie idzie tam, dokąd iść powinien, dlaczego nie idzie wprost do interesu?

— On idzie, on idzie niekoniecznie prostą drogą, bo nigdzie nie stoi napisano, żeby wszystkie drogi były proste. On idzie naokoło, ale zawsze tam przyjdzie, gdzie potrzeba.

— Ciekawym!

— Ja chcę prowadzić do tego. Ja jestem Icek, podług waszego rozumienia: tak sobie Icek, zwyczajny Icek Grünbaum, pachciarz z Trzęsiedł, a to jest wcale nieprawda.

— Nieprawda? to z kim ja robiłem wspólkę na młyn?

— Wy zrobiliście wspólkę z Ickiem Grünbaum, z tym co był pachciarzem w Trzęsiedłach, ale jeżeli wam się zdaje, że ja jestem tylko ten Icek Grünbaum, to się mylicie grubo.

CZESŁAW JANKOWSKI.



Z CYKLU »EMIGRACYA«.
I. NA RODZINNEJ ZIEMI.

— A co Icek jest? — zawołał przestraszony już na dobre Mojsie. — Co Icek jest? Z kim ja zrobiłem kontrakt? z kim ja mam spółkę do młyna?

— Ja jestem Icek podwójny.

— A ja was bardzo, ja was bardzo proszę, Icku, nie róbcie wy żadnej symulacji. Spółka to spółka, a między porządnymi ludźmi nie powinno być żadne szachrajstwo.

— Pfe, Mošku, wy macie drewnianą głowę. Ja wam już powiedziałem, że do spółki jestem Icek Grünbaum; ale prócz spółki, do zwyczajnych interesów ja mogę być Icek podwójny.

— Podwójny? co wy powiadacie?! Czy człowiek może być podwójny?

— Bardziej, aniżeli dubeltówka! Kombinacja interesów, o której mówiłem wam przedtem, robi człowieka nie tylko podwójnym, ale potrójnym, nawet poczwórnym. Wy się nie dziwcie temu. Wy do tej pory handlowaliście jednym tylko towarem.

— Ja? niech mi Pan Bóg da tyle zdrowia, iloma ja różnemi towarami handlowałem!

— Ja wiem, głównie jednym: handlowaliście mlekiem. To nie jest towar, który wyrabia głębokość umysłu, to nie jest źródło, w którymby rozum mógł się wykapać jak żyd w mikwie i wyjść z tamtąd całkiem orzeźwiony. Daję wam na to słowo.

— A czem wy handlowaliście, Icku, że taki rozum wielki obrał sobie mieszkanie w waszej, bardzo zwyczajnej głowie? Co wy macie być lepszego odemnie? ja żyd i wy żyd, ja pachciarz i wy pachciarz, ja współnik i wy współnik. Zkąd w was taka pycha, że chcecie być najmądrzejszy?

— Nie rozumiecie mnie wcale; przezemnie nie mówi pycha, tylko prawda. Wy jesteście Mojsie pojedynczy, ja jestem Icek podwójny; a to znaczy tyle, co dwóch Icków. Wam się to w głowie nie mieści, a to prosta rzecz. Wczoraj byłem Icek tamten, dziś jestem Icek ten. Wczoraj byłem tu jak gość; byłem obywatel amerykański, jedną nogą stałem już na morzu, a drugą podnosiłem do góry, żeby ją wziąć precz z Trzęsidel; dziś wcale nie podnoszę nogi, wcale nie jestem na morzu i jestem sobie obywatel tutejszy, dzierżawca młyna w Wywłóce.

— Przepraszam was, Icku, wy nie jesteście dzierżawca.

— A co jestem?

— Współdzierżawca.

— Aj Mojsie, Mojsie, ciężka wasza głowa! Jeżeli rozerznąć jabłko na dwie połowy, to ani jedna połowa nie będzie kotem, ani druga, za pozwoleniem, psem... ale obie będą tylko jabłkiem.

— No, no.

— To też ja do tego prowadzę, że dziś jestem dzierżawcą. Sam, czy we wspólnie, do rzeczy nie należy, dość, że dzierżawię młyn w Wywłóce i niech to moje wrogi wychorują, co ja na tej dzierżawie jeszcze nie zarobiłem. Ja jestem dzierżawca, obywatel tutejszy i nawet nie myślę wyjeżdżać do żadnej paskudnej Ameryki, pomiędzy kolorową szlachtą i dzikich czarnych chłopów, o których słyszałem dużo brzydkich rzeczy.

— Co wyście o nich mogli słyszeć?

— Słyszałem, że oni jedzą żywe małpy i żywe węże.

— Tfy!

— Ja to samo powiadam, a z tego co powiadam, możecie się sami przekonać, że jestem podwójny, bo wczoraj byłem inny i mówiłem wcale co innego. Mnie się zdawało, że dziki chłop jest lepszy od naszego chłopca, a dziki szlachcic od naszego szlachcica. Dziś widzę, że Ameryka nie jest taki kawałek złota, jak się zdawało. Dziś widzę zupełnie inaczej. Nie chcę w złą godzinę wymówić, Mojsie, i pluję trzy razy, żeby się co złego do mego słowa nie przyczepiło, ale, podług mego zdania, zrobiliśmy doskonały interes.

— Na młynie?

— Tak.

— Daj Boże.

— Ja wam mówię... a ja znawca jestem i wiem, że z pewnością w Ameryce nie może się taki interes przytrafić. Tam szlachta jest chytra, wyrachowana, a nasza komisja żydowska, ta co od samego Hirsza, chciałaby porządnym żydkom zapędzić do grubej i niedelikatnej roboty, to jest fe!

— Dalibóg fe, macie rację.

— Póki ja nie miałem tego młyna....

— Powiedźcie: póki my nie mieliśmy.

— No dobrze, póki my nie mieliśmy tego młyna, to mnie się zdawało, że Ameryka jest raj, teraz widzę, że ona jest tylko Ameryka i że trzeba wielkiego ryzykanta, coby chciał tego raję kosztować. Ja wcale nie chcę; mam już dosyć!

IV.

Z pochyloną głową, zamyślony szedł Icek do dworu w Trzęsidlach. W myśli przygotowywał już mowę pożegnalną dla dziedzica, grzeczne słowo dla wszystkich domowników. Licho wie, co się kiedy z człowiekiem stać może; lepiej więc z każdym dobrze wychodzić. Ma kto stanąć na drodze w przyszłości jak przeszkoda, niech lepiej stanie jako pomoc.

Wszedłszy do pokoju dziedzica, Icek pokłonił się bardzo nisko.

— A... Icek! jeszcze nie w Ameryce?

— Wielmożny panie, niech moje wrogi tam będą.

— Przecież taki świetny kraj... taka ziemia obiecana.

— To gadanie jest.

— Sam przecież opowiadałeś.

— Byłem obalamucony.

- Proszę!
- Naprawdę, wielmożny panie, byłem całkiem zbałamucony. Mnie dużo nagadali, a ja niepotrzebnie słuchałem. Ja byłem rozżalony, byłem cierpiący, moje interesa nie szły, mnie ludzie robili przykrości, ja miałem ciężkie życie. Mnie się zdawało, że tam za morzem jest lepiej, a tu bardzo źle; tymczasem ja się przekonałem, że i tu źle nie jest, że i tu można żyć i handlować, nawet bardzo dobrze handlować.
- I cóż wpłynęło na wasze przekonanie?
- Co miało wpływać? ja sam sobie wpłynąłem.
- Tak nagle?
- Co dziwnego? Panu dobrodziejowi wiadomo, że jak kto siedzi w ciemnej izbie, to mu jest czarno, on nic nie widzi, a jak się wydobędzie na świat, na jasność, to widzi więcej niż sam chce.
- No tak, ale cóż Icka wyciągnęło na tę jasność?
- Ja sam.
- E, musi być jakaś przyczyna...
- Może i jest... pewnie, że jest... co na świecie bez przyczyny się dzieje?
- Zapewne jaka dobra afera?
- Całkiem nie afera, wielmożny panie, tylko młyn, zwyczajny, wodny młyn.
- Gdzie?
- W Wywłóce; pewnie pan dobrodziej zna ten młyn?
- Znam doskonale.
- Pan dobrodziej nie powie, że to jest zły młyn.
- Owszem, doskonały.
- No; tembardziej, że na cztery, na pięć mil w okolicy drugiego takiego nie znajdzie.
- A racya.
- Są wiatraczki, a panu dobrodziejowi wiadomo, co jest wiatrak. To śmiechu wart interes: jak jest wiatr, to on cokolwieczek miele, a jak nie ma wiatru, to nic nie miele. I co on miele? prostą razową mąkę dla chłopów! Co to jest? to nic nie jest, a ten młyn w Wywłóce? ha! ha! on ma jedwabny pytel francuski, co, żebym ja tak jeszcze drobne dzieci miał, jak z pod niego drobna mąka idzie; a te kaszaki! aj waj, panie, co za kaszaki! francuskie, na moje sumienie. Perłowa jak perła, drobna jak brylanty, a te chłopskie kasze, lecą z pod kamieni jak śmiecie. Ja panu powiem, jak chłop koło Wywłockiego młyna przejeżdża, to się oblizuje, bo jemu zaraz pachnie kasza, za przeproszeniem pana dobrodziej... ja cokolwieczek splunę... ze słoniną. Jest to pfe, ale dla chłopów, to wielki i nadzwyczajny zapach!
- A jednak mówiłeś Icku, że wolisz dzikich czarnych chłopów, aniżeli naszych.
- Co ja mówiłem? Ja nic nie mówiłem, a jeżeli co mówił, to w wielkim żalu i smutku. Teraz ja już żalu nie mam, ja wziąłem w arendę młyn w Wywłóce i od tego czasu ja bardzo polubiłem naszych chłopów. Na moje sumienie, są to bardzo porządne ludzie. Niech mi pan dobrodziej wierzy.
- Jeszcze parę dni temu mówiłeś inaczej.
- Parę dni! mała rzecz. Czy pan dobrodziej wie co znaczy parę dni? Przeszłego roku w połowie sierpnia żyto było po pięć rubli, a na wiosnę spadło na trzy! O pięćdziesiąt procent! No, jakie miał zdanie handlarz żyta w sierpniu, a jakie ma dziś?
- Ależ człowieku, tu chodzi dziś o elementarne zasady!
- Aj zasady, zasady! Ja nie wiem co to są zasady, ja jestem teraz cały młynarz, ja znam tylko stawidła. Może one są także zasady. Ja panu co powiem: tak czy tak, trzeba żyć i to jest najgłówniejsza zasada. To jest cała mechanika, całe koło, które obraca świat. Niech pan mówi tak, albo tak, a ja powiadam swoje. Gdzie serce tam chleb, inaczej to nie może być.
- Nie, Icku.
- Może dla państwa nie, dla nas tak. Nam się należy cały świat z prawa sukcesyi.
- Po kim, u diabła?
- Po Jakóbie.
- Po jakim Jakóbie?
- Wie pan, Abraham miał syna Izaaka, Izaak miał dwóch synów: Jakóba i Ezawa. My jesteśmy od Jakóba, państwo od Ezawa; a Jakób był starszy.
- Ezaw był starszy.
- Był, ale on swoje starszeństwo zcedował; bardzo formalnie przed rejentem, na Jakóba; ta cesya na nas przechodzi... bo dzieci Jakóba, którzy znaczą to samo co Izrael, to my...
- Naciągasz Icku.
- Co mam naciągać, to jest prawda.
- Ostatecznie nie wygrałbyś swojej sprawy przed sądem.
- Ja wiem, ale to nic nie szkodzi. Nie mam wyroku, staram się innym sposobem...
- Jak?
- Jak można, tak czy siak, abym swoje miał. Zresztą, proszę pana, co my mamy o tem gadać. Ja mam swoje prawo, pan ma swoje, ja mówię tak, pan tak; pan sobie jest dziedzic w Trzęsidlach, ja sobie na całym świecie jestem dziedzic.
- Nie wiedziałem o tem.
- Aj waj, czy to człowiek może o wszystkim wiedzieć? ja swoje dziedzictwo bardzo kocham, pan swoje też kocha.
- Powiedziałeś przecież przed paroma dniami, że nas znać nie chcesz.
- Panie dobrodziej... to była omyłka.

- Powiedziałeś, że nas wcale nie kochasz.
 — A pfe! czy ja to mogłem powiedzieć?
 — Wyraźnie.
 — Nie może być!
 — Na własne uszy słyszałem
 — Nie wiem, chyba pan dobrodziej miał wtenczas, broń Boże, jaki feler na ucho...
 — Mogę zaręczyć, że byłem jak najzdrowszy.
 — No! to chyba ja miałem feler na język.
 — To prędej.
 — Ale już teraz nie mam ten feler.
 — I nie odjeżdżasz lcku?
 — Fe, wielmożny panie. Ja mam moje serce na młynie, a młyn w Wywłoce. Jakbym odjechał, zostawiłbym serce moje, a powiedz pan dobrodziej, czy człowiek może żyć bez... serca.

KLEMENS JUNOSZA.

UROCZE OCZY.

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH.*)

(Ciąg dalszy).

AKT III.

Tenże sam pokój co w dwóch poprzednich.

SCENA 1.

PETRONELLA (wchodzi sama z plikiem gazet pod pachą).

Noc nieprzespana i obawa o moją Terenię tak mi tu (wskazuje na serce) i tu (wskazuje na czoło) wszystko zawieruszyły, że doprawdy nie wiem, jak ja te gazetki przeczytam. Przeczytać jednak trzeba, bo nuż pani kasztelanowa zapyta: »Panno Petronello, co w świecie politycznym słyszać?« Wprawdzie gośćmi zajęta, ale nuż zapyta! (Przegląda). Wczorajsze.—Grześ jeszcze świeżych z poczty nie przywiózł. Ha! trzeba się wziąć do pańszczyzny! (Otwiera jeden dziennik). Artykuł wstępny, drukowany większymi literami. Może tu będzie co ciekawego. (Czyta po cichu, mrużąc). Eee, gdzie tam! jak prawdę kocham, nie ma faktów. (Chwila milczenia). Biedne stworzonko rączyny swoje do mar wyciągało... (Przegląda dzienniki). Szukajmy dalej. (Czyta głośno). »Stan ziemiański pytlujący dworskie obszary na miałki piasek lilipucich udziałów...« (Mówi). Miałki piasek... androny! Nie umiem dziś szukać. Głowa boli— a jednak coś przeczytać należy i zapamiętać. Litery skaczą przed oczami niby szambelan w walcu.— Dali pan, lekko tańczy. Powiada, że do królowej Izabelli podobna. Miły człowiek!— Ale!... miły, a pragnie zguby mego aniołka. (Czyta). »Ogrom logiki, skoncentrowanej na tyłach, poglądy wykopane z jaskiń troglotydów, albo sprowadzone wynędzniałymi fornalkami z Pekinu...« (Mówi). Nic nie rozumiem. (Chwila milczenia). Po twarzyczce bladej łzy spływały i patrzyła tak dziwnie, tak dziwnie... (Wstrząsa się). Ale czytamy. (Czyta, a potem w roztargnieniu, z oczami w jeden punkt utkwionemi powtarza, jakby uczyła się na pamięć). »Ogrom logiki, skoncentrowanej na tyłach...« Ogrom logiki, ogrom logiki, ogrom logiki... skoncentrowanej, skoncentrowanej, skoncentrowanej... (Nagle urywa). Tfu! jak prawdę kocham, na co ja się tego ucze. Tu nie ma faktów. (Znowu jakby senna wlepia oczy w gazetę i powtarza machinalnie). Poglądy wykopane z jaskiń troglotydów, troglotydów, troglotydów... albo przywiezione, przywiezione...

SCENA 2.

REJENT, PETRONELLA.

REJENT (wszedł głębia).

Czy jest co nowego w dziennikach?

PETRONELLA (bezmyślnie).

Ogrom logiki, skoncentrowanej na tyłach.

REJENT.

Co? co?

PETRONELLA (j. w.).

Poglądy wykopane z jaskiń troglotydów, albo przywiezione wynędzniałymi fornalkami z Pekinu...

REJENT.

Dajże pani pokój! Nie czas na żarty!

PETRONELLA (wstrząsa się, jakby wracała do przytomności).

Jak prawdę kocham, tak stoi wydrukowane.

REJENT.

Albo to jedno głupstwo drukują. Papier cierpliwy!

PETRONELLA.

Ale pan rejent dziś jakiś niecierpliwy.

REJENT.

Bo i święty jużby cierpliwość stracił!

PETRONELLA.

Tak źle idą układy o sprzedaż mojej sarenki?

REJENT (gniewnie).

Źle! (Przechadza się). Czy nie mówiłem już pannie Petronelli, że sprzedać jej nie myślę. Przeciwnie, czynię co mogę, żeby ją ochronić...

PETRONELLA (z błagalnym gestem).

Ochron... wybaw!...

*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

L. PICCARD.



TRZYDZIEŚCI LAT TEMU.

REJENT.

Trudno, bardzo trudno. Cała moja praca idzie na marne w obec uprzedzeń kasztelanowej. (Trze ręką czoło). Jak je usunąć, rozproszyć...

PETRONELLA.

Muszę panu rejentowi coś ważnego opowiedzieć.

REJENT.

Co?

PETRONELLA.

Jaką ja straszną noc miałam!

REJENT (z niezadowoleniem).

A co mnie do nocy panny Petronelli!

PETRONELLA.

Ależ bo ja nie o sobie chcę mówić. Posłuchaj pan... proszę. Oto oni — ci z miasta — wiedzą ją na zgubę, na zatracenie duszy i ciała. Wczoraj wieczorem spolił mi dziecko, które dotąd wino nie znało.

REJENT (z lekceważeniem).

Ba! parę kieliszków szampana!

PETRONELLA.

A czy pan rejent wie, jak te parę kieliszków na nią oddziało?... W nocy...

REJENT (niecierpliwie).

Cóż u licha z tą nocą?!

PETRONELLA.

O! pozwól-że mówić!... Sarenka moja... nie... to jest tak... Terenia... Od tego ciągłego przerywania głowę tracę... nie wiem co mam pierwszej powiedzieć. (Po chwilowym namyśle). Zaraz po kolacyi, to jest raczej po obiedzie, położyłam się do łóżka pierwsza. A nie wiem czy panu rejentowi wiadomo, że śpiam w jej pokoju. Zmęczona, usnęłam odrazu. Nagle budzi mnie jakiś szelest, stąpanie, westchnienia... Przecieram powieki i co widzę...

REJENT.

Dali Bóg, powiedz-że raz pani!

PETRONELLA.

Ona, moja dziecina, jak prawdę kocham, stoi przy oknie — ze żrenicami, ot takimi dużymi. Ramiona i rączka drobne do jakichś mar wyciąga; po bladej twarzyczce łzy płyną; a oczy utkwione w księżyc, patrzą tak dziwnie, tak dziwnie... że mi serce w piersi bić przestało.

REJENT.

Czy to przytrafiło się po raz pierwszy?

PETRONELLA.

Coś podobnego, osobiście kiedy była dzieckiem, zdarzało się czasem, ale nigdy w tym stopniu. Ot, usiadła niekiedy, jakby w kłębuszek zwinięta, obejmując dłońmi kolana; mętным wzrokiem wiodła za miesiącem — nie zrywała się jednak, nie chodziła, nie tonała całą duszą w jasnowidzeniu. Bo, że to było jasnowidzenie, dam się w kawałki posiekać.

REJENT.

Mówiła co?

PETRONELLA.

A mówiła.

REJENT.

Co?

PETRONELLA.

Kiedy bo nie wiele zrozumiałam, a i nie wszystko dosłyszałam.

REJENT.

Masz tobie! Jakże panna Petronella słuchała?

PETRONELLA.

At! niby się to takich rzeczy słucha, jak w dzień, zwykłego dyskursu. Strach trzęsie, serce boli, a puls wali w skroniach, jak młoty kowalskie. Wiem tylko — o! tak, przypominam sobie, że mówiła o nieboszce matce i ojcu, o Ludwiku i o babce, o panu, panie rejencie, i o Karolci. A nawet księcia wspominała...

REJENT (rozważając).

I o księciu wspominała. Może on naprawdę główkę jej zawrócił.

PETRONELLA (z oburzeniem).

Winem chyba, nie swoją osobą! — Takich przypuszczeń głosić nie należy. Można w złą godzinę wymówić. Tfu! na psa uroki, niech nas od tego ręka Boska broni! Jeśli wspominała, to za sprawą złego ducha, pod wpływem owych paru kieliszków szampana, bo ten wasz księżę ze swoimi czarnymi, jak stal błyszczącymi oczami, to chyba szatan wcielony.

REJENT.

Cóż się stało dalej?

PETRONELLA.

Chociaż zerwałam się z posłania na równe nogi, nie śmiałam na nią zawołać, żeby nie omdlała przypadkiem; więc drżąc z obawy i zimna — bo noc była chłodna — patrzyłam jeno, nie wiedząc co począć, nie śmiejąc nawet płakać, pomimo, że łzy do oczu się cisnęły. Trwało to pewno dobrych parę godzin, aż dopiero, kiedy księżyc zsunął się za krzaki bżów, co rosły pod naszymi oknami, Terenia zwróciła się do klęcznika, padła na kolana i gorąco modlić się zaczęła. Modliła się kilka minut. Potem powstała, przystąpiła do swego łóżeczka, zdjęła szlafroczek biały — który prawdopodobnie wstając narzuciła na ramiona — wsunęła się pod kołderkę, śliczną główkę złożyła na poduszce i z twarzyczką, jakby w rosie skąpaną, usnęła.

REJENT.

Nie budząc się już więcej?

PETRONELLA.

Nie — pewno nawet śpi jeszcze. Ja-bo spać nie mogłam; czuwałam nad nią do świtu. Z pierwszemi promieniami wschodzącego słońca zesłam na dół; kręcę się, chodzę — ale jak pijana. Ani słówka nie rozumiałam z tego co czytałam w gazetach. Głowa mnie boli, a duszę mam taką strapioną, jakbym przeżywała jakie wielkie nieszczęście.

REJENT.

I bez jasnowidzenia odgadnąć łatwo, że wisi ono nad nami; dla tego radzę nie wspominać pani nikomu o tem, coś mi opowiedziała. Nie należy obudzać niepokoju i zamieszania w domu. Chciej wierzyć, że szczęścia Tereni pragnę, ale żeby je zapewnić, potrzebuję całej przytomności umysłu, na którą dziś trudno mi się zdobyć. I ja jestem mocno rozdra-

żniony, zmęczony przykreimi myślami... i ja całą noc nie spałem. (Spostrzega Ludwika za szklannymi drzwiami). Sza, Ludwik!... Przed nim ani słowa. Staraj się, panno Petronello, być wesołą...

(Ciąg dalszy nastąpi).

PETRONELLA.

Nie potrafię. Wolę odejść do gospodarstwa...
Mogłabym się zdradzić. (Wychodzi).

ZYGMUNT SARNECKI.

Z FRANCUSKIEJ LITERATURY PRAWNICZEJ.

(Dokończenie).

Krytyka polegająca na porównywaniu danej ustawy z jakimś prawniczym aksjomatem, z jakąś zasadą, myślą przewodnią prawa, jest może największym błędem dotychczasowej nauki w wielkiej jej części. Wszak te rzekome aksjomy to najczęściej wytwór wyobraźni, lub twierdzenia starych legistów, przyjęte przez dzisiejszych prawników, którzy boją się je kontrolować i usunąć z nauki. Gdyby się p. Béchaux w swym wstępie do tych tylko uwag ograniczył, a pominął teoretyczne wywody o naturalnem prawie, i nie popełniłby nielogiczności i dziełu swemu nie zaszkodził. Pierwszej uniknąłby, bo jakże pogodzić jego zżymanie się na prawnicze dogmaty, wypływające z fantazyi, z twierdzeniem, że istnieje prawo naturalne, dające się rozeznąć jedynie rozumem? Czyż te aksjomaty, które zarzuca, to właśnie nie owo subiektywne prawo natury? Wyrzucenie zaś owych wywodów ogólnych o istocie prawa, nie zaszkodziłoby samemu dziełu, bo w całej jego osnowie zapomniał, że kiedykolwiek mówił o »filozoficznym« prawie. Przeciwnie z jednej strony ustawy pozytywne, z drugiej obecne stosunki i fakty ekonomiczne, oto teren, na którym pracuje. Nim jednak o nim, choćby kilkoma słowy wspomnimy, warto przytoczyć rezultat, do jakiego dochodzi p. Béchaux: Jak zastosować metodę obserwacji do nauki prawa? Prawnika ma podwójną misję: stworzyć i zorganizować umiejętność prawa, a powtórzyć zapewnić prawu postęp i wywołać jego reformy. Dla osiągnięcia obu tych celów studjum tekstu, chociaż konieczne, nie jest wystarczającym. Prawo i fakt rzadko tylko się zgadzają. Przepis prawny powinien służyć do zaspokojenia potrzeb, które go wywołały. Powinien się przystosowywać do faktów zmiennych i zmieniających się, z nimi razem się przekształcać, modelować się wreszcie, by się tak wyrazić, na potrzebach ekonomicznych, moralnych i politycznych danego społeczeństwa. Zadanie prawnika wymaga przeto znajomości faktów, powinien je chwycić, sam zbierać, lub korzystać z obserwacji zebranych przez innych. Jednym słowem powinien, znać skutek, jaki ustawy wywierają na podległe im społeczeństwo. Jak dalece uważam rezultaty, do których doszedł p. Béchaux, za słuszne, miałem sposobność wykazać już na innem miejscu, gdzie też próbowałem zastosować je i praktycznie.

Temi ostatnimi tylko kierując się myślami, a więc wsparty na prawie pozytywnem francuskim,

a nie jakimś ogólnem, niezmiennem i niewzruszalnem i na stosunkach ekonomicznych przeważnie francuskich, roztacza p. Béchaux przed czytelnikiem obraz instytucji prawa prywatnego i publicznego w oświeśleniu ekonomicznem. Zadanie rodziny, prawa o pracy dzieci, niedostateczność ustawodawstwa o własności ruchomej, kwestya wykupu służebności, kontrakty najmu, kwestya hipoteki ustawowej i t. d. i t. d. — oto szereg odpowiedzi, jakie znajdujemy w książce p. Béchaux'a na pytanie, co przynosi ekonomia polityczna dla prawa. Jest tu materiał i szereg uwag zdolny nie tylko do wywołania ciekawej dyskusyi, ale i do spowodowania naprawy niejednego błędu i niedostatku. Można się nie zgadzać z p. Béchaux na wielu punktach, ale nie można mu nie być wdzięcznym za wykazanie, że jeżeli nie usunąć, to przynajmniej zrozumieć i zbadać należy rozumną podstawę tak wielu nietykalnych dla prawników pewników.

Oto zasady, na których rozpoczyna się we Francyi rozwój jednego z najpłodniejszych w dodatnie następstwa kierunków w literaturze prawniczej, kierunku ekonomicznego. W notatce sprawozdawczej, jaką jest niniejszy urywek, nie mogę rozwijać mego własnego poglądu na związek prawa z ekonomią polityczną i z faktami, jakie wytwarza życie, uczyniłem to zresztą już gdzieś indziej. Na tem jednak miejscu niechaj mi wolno będzie przynajmniej jedno powiedzieć. Nauka prawa ograniczająca się tylko do przepisów, a wszystko jedno, czy te przepisy są wzięte z jednego, czy dla porównania z kilku prawodawstw, jest rzeczywiście nauką *»la plus aride, la plus sèche, la plus infructueuse«*. Ale nie dosyć na tem, nie dąży nadto i nie wydaje prawdy. Zamknięta w sobie odbiega od życia i jego wymagań, staje się sama dla siebie odrębnym światem, nieznanym tym, którzy z niego mają korzystać i z niego czerpać środki do zaspokojenia swych potrzeb. Natomiast zbliżenie norm prawnych do faktów ekonomicznych, choćby nic więcej, to z pewnością szerszą dla wniosków, a więc prawdopodobniejszą daje podstawę, wydobywa z ciasnego horyzontu, wzrusza wreszcie skamieniałościami, które najczęściej jedynie siłą inercyi trwają przez całe pokolenia. To też można się nie zgadzać z wynikami, do jakich doszedł n. p. p. Béchaux, ale za postawienie pierwszych kroków w pracy na niwie żyznej i płodnej, nie można mu nie być wdzięcznym.

DR. WŁAD. LEOPOLD JAWORSKI.

MARZENIE.

Tam — — chciałbym jedno: w niezmiennem przestworzu
Tonąć, jak delfin tonie w wielkiem morzu.
I patrzeć z góry, jak woda prześwieca
Przez gąszcz wiklin w świetleniu księżycy;
Jak blade róże, czarę aksamitną

Otworzył słońcu złocistemu, kwitną;
Jak w czas zachodu na błękitów skłonie,
W płomiennych łunach lód na wierchach płonie;
Jak ponad głuche, modre oceany
Mgławic leniwe falują tumany,

A po zielonych wyspach gdzieś daleko
 Byszczące węże na słońcu się wleka...
 Niech mi tam zapach z polskiej poszlą łąki
 Skoszone siana i błękitne dzwonki;
 Z hał niech mi wichry skrzydlate doniosą
 Woń limb poranną operlonych rosą;
 Niech mi tam szumią z oddali kaskady
 Mych gór rodzinnych, szemrzą ciche lasy,
 Niech mi w polanach zagrają juhasy,
 W upłazach owiec zadzwonią gromady...
 A czasem niech mi naokoło głowy

Skra się owinie wąż błyskawicowy,
 Lub zabłąkana gdzieś światłość miesiąca
 Na oczach moich niech odpocznie drżąca...
 Tam — — w owej pustce cichej i bezdennej,
 Niech nic zadumy nie mąci mi sennej,
 I wszystka pamięć niechaj wyjdzie ze mnie,
 Żem tyle pragnął na ziemi daremnie,
 Że ile razy ręce wyciągnąłem
 Wszystko mi zawsze było za daleko — —
 Tam — — niechaj orły krążą mi nad czołem,
 Wiatr łamiał piersią i skrzydłami sieką...

KAZIMIERZ TETMAJER.

PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.*)

Listy Zym. Krasińskiego, 3 tomy; Listy Zym. Krasińskiego do St. Małachowskiego, Kraków 1885; Listy Zym. Krasińskiego od roku 1835—1844 pisane do Edwarda Jaroszyńskiego, z oryginałów znalezionych niedawno w Hajsyńskim powiecie we wsi Hrużce na Podolu, Kraków 1871; Wyjątki z listów Zym. Krasińskiego t. I. Paryż 1860 (wyd. K. Gaszyńskiego); Pisma Zym. Krasińskiego wydanie zbiorowe, 4 tomy, Lwów 1890; Ant. Edw. Odyńca, *Listy z podróży*; Stan. Tarnowski, *Z listów Zym. Krasińskiego do Adama Soltana*, *Przegląd Polski*, 1877, Styczeń; St. Tarnowski, *Zygmunt Krasiński*, Kraków 1893; Jan Gnatowski, *Moja Beatrice*, Warszawa, 1880, odbitka z *Niwy*; Dr. Antoni J. *Z życia Zygmunta Krasińskiego*, Kraków 1890, odbitka ze *Świata*; Piotr Chmielowski, *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego*, Warszawa, 1886, wyd. trzecie; Br. Chlebowski, *Nieboska i Irydion*, Warszawa 1884; Józefat Nowiński, *Zygmunt Krasiński i jego dzieła w Życiu* (warszawskiem) 1890 Nr 1, 2, 4; Tadeusz Sternal, *Kartka ze stosunku Krasińskiego ze Słowackim*, w *Kraju* z r. 1890 Nr 5—7, w dodatku literackim; Malvina Ogonowska, *Studio critico su Sigismondo Krasiński*, Bologna 1887; Frantisek Kvapil, *Neznámá, Crta ze života Zygmunta Krasińskiego*, *Slovansky Sbornik*, 1886, Císlo 9 i 10; Walery Przyborowski, *Niewieście ideały poetów polskich*, Warszawa, 1881.

Prologiem swym, smutnym, jak wszystko co nastąpiło po nim, sięga ta »zagmatwana tragedia« jeszcze roku 1825, kiedy na Joannę, najmłodszą z panien Morzkowskich, zawołano po raz pierwszy: »żono!« co zgodnie z wykrzykiem Gustawa miało, niestety! oznaczać, że już ją żywcem pogrzebiono. »Obyczajem świata« bowiem, dzieckiem prawie i »bezmilosną« wydano ją »czy sprzedano za mąż«.

— O, zapłaczcie nademną i nad wszystkimi siostry mojemu, które nic jeszcze nie wiedząc, ni czując, idą bezwoliwie ciało i ducha oddać tym, co wszystko wiedzą i wszystko już czuli.¹⁾

Małżonek jej, pan Teodor Bóbr-Piotrowicki, »człowiek nowy«, z innej, pośledniejszej znacznie, aniżeli ona, ulepiony gliny, zręczny, ugrzeczniony, wielkiej ogłady a butny, gościnny, a przestrzegający etykiety prawie dworskiej, słowem, typ »bogatego indygeny, z kolei przedzierzgniętego w dygnitarza«, form wykończonych, jak na przyszłego reprezentanta herbowych przystało, marzący, jak poeta o sławie, o wyniesieniu na urząd marszałka szlachty wołyńskiej²⁾, ruchliwy i czynny, a przytem »całą gębą pan, niezmiernie poważny, niezmiernie grzeczny, ale szczególnym sposobem«, w gruncie rzeczy bowiem zimny i prozaiczny, jak cyfra, posiadał wszelkie warunki po temu, ażeby w pożyciu z taką, jak Joanna, istotą, nie uczynić jej szczęśliwą³⁾.

Nie od rzeczy też będzie napomknąć, choćby tylko *inter parinthesim*, że otrzymał za żonę swą 4,000.000 złp. posagu i że biorąc pannę z domu Morzkowskich, stawał się przez to samo szwagrem księcia Karola Jabłonowskiego, żonatego z najstarszą siostrą Joanny, Józefą, oraz księcia Wilhelma Radziwiłła, brata jenerałowej Wincentowej Krasińskiej, ożenionego z Cecylią Morzkowską. Dla pana Bobra, wzbogaczonego a ambitnego szlachetki owruckiego, musiała mo-

żność takiego przestąpienia pańskich, ba, książęcych progów, nie mały przedstawiać urok; tembardziej, że uważał to za jeden ze szczebli owej drabiny, u której szczytu widział, w imaginacyi swej, zawieszoną laskę marszałkowską. Zapatrzony w nią, mniej dbał nierównie o żonę, na której wartości poznać się nie potrafił i, prowadząc żywot »więcej może kawalerski« (tak dalece kawalerski, że jeszcze w roku 1829, a więc w cztery lata po ożenieniu, bawiąc w Petersburgu, gdzie miał bardzo rozgałęzione stosunki⁴⁾, nie wyrażał się inaczej o »pannie« Bartolucci, słynnej pod ówczas z piękności śpiewaczce opery włoskiej tylko: »moja Bartolucci«) starał się głównie o zyskanie popularności wśród szlachty okolicznej, nad którą z czasem miał nadzieję przewodzić⁵⁾. W tym celu spraszał do siebie, do swego »pałacu« w Zahajcach, całe sąsiedztwo; a że, jak na »gościnnego« gospodarza przystało, nie szczędził grosza ani na kuchnię, ani na piwnicę, bawiono się więc u niego, jak nigdzie indziej, jedząc, pijąc i popuszczając pasa. Ztąd przyszło, że Zahajce, dla wszystkich otwarte, a zawsze »licznymi gośćmi zaludnione«, rozbrzmiewając muzyką rogów myśliwskich, rżeniem koni, graniem ogarów, strzałami flint, skomleniem chartów, nawoływaniem dojeżdżaczy, hukiem szampana, a wreszcie chrzęstem kart i banknotów, zasłynęły wkrótce — i na długo — jako »wesola rezydencya pana Teodora Bobra«.

O pani Bobrowej, choć »klasycznie pięknej«, nie tak było w okolicy głośno: raz dlatego, że w przyjęciach, wyprawianych przez męża, a niejednokrotnie »z istic saskiem opilstwem związanych«, nie brała udziału, pokazując się tylko na t. z. »balach urzędowych«, na których bywali również i przedstawiciele miejscowej administracyi, z księciem Wasilczykowem, ówczesnym gubernatorem wołyńskim, na czele; a po-

⁴⁾ Zob. Niedokończony poemat, str. 156 i 137 (Sen).

⁵⁾ O śpiewaczce Bartolucci zob. *Russkij Archiw* z r. 1892, we wspomnieniach Przeclawskiego (Cyprynusa) o Adamie Mickiewiczu. Tamże w »uwagach« znajduje się kilkadziesiąt wierszy, poświęconych p. Bobrowi-Piotrowickiemu.

¹⁾ Niedokończony poemat (Sen) str. 136.

²⁾ Ambicji jego stało się zadość w r. 1841.

³⁾ Zob. jego charakterystykę u Dr Antoniego J. Op. cit.

*) W tymże samym przedmiocie autor niniejszego studium drukował artykuł w *Ateneum* warszawskim. Praca, którą dziś podajemy w *Świecie* jest nową, świeżo opracowaną, obszerniejszą od poprzedniej. (Przypisek redakcyi).

CZESŁAW JANKOWSKI



Z CYKLU »EMIGRACYA«.

II. W DRODZE.

wtóre, że wogóle mało udzielała się światu, w którego zabawach, nacechowanych prowincjonalizmem i zabarwionych trywialną bałagulszczyzną, »pustych i niezawsze godziwych«, znaleźć nie mogła dla duszy swej odpowiedniego pokarmu... Wyższa nad otaczający ją poziom, rozmiłowana w muzyce, w poezjach Byrona i Lamartine'a, w romansach Rousseau'a, pani de Staël, Chateaubrianda i Walter Scotta, słowem, natura artystyczna, *eine schöne Seele*, jakby ją nazwał Goethe, bardzo pod wielu względami podobna do hrabiny Idalii z *Niepoprawnych* Słowackiego, jak tamta, nerwowa, sentymentalna i egzaltowana, zmuszona obracać się przeważnie w towarzystwie ludzi pospolitych, niewykształconych, największe upodobanie znajdujących w sporcie, szulerce i pijatyce, nieoceniana przez męża, z którym ją — prócz dzieci — nic nie łączyło wspólnego, nie dziw, jeżeli »nigdy a nigdy szczęścia nie zaznała« i jeżeli z oblicza jej nie schodził »niemy smutek«. O, bo »niema tragedii okropniejszych nad te, co się odbywają koło ognisk domowych: niby cicho, niby dobrze, wszystkim, niewtajemniczonym w zobopólne pożycie małżonków, zdaje się, sądząc z pozorów, że połączonym wzajemną inklinacją« niczego do pomyślności nie braknie, kiedy oni, »coby się kochać powinni, i czują, że powinni, i czują, że Bóg ich na to stworzył, nie cierpią się lub nudzą jedni przy drugich, nie rozumieją się nawzajem«¹⁾. Dwory, »otoczone łąkami zbóż spokojnych i sadem drzew owocowych, gdy wejdiesz w ich progi, piekłem ci się wydadzą: nie owem, gdzie grzmi piorun Bożej potęgi, i gdzie szatan Miliona zasiada na tronie wśród nieskończoności cieniów, ale piekłem potocznym, piekłem codzienności, kędy szkieletów i żmij niema, ale są krople zatrutego oleju, sączące się jedna po drugiej do lampy życia, i kolce drobniotki, podobne kaktusowym, których dojrzeć nie potrafisz, a zatem wyjąć nie możesz, a które jednak całą rękę przejmą ci świerzbieniem, bólem i gorączką. W takich ustroniach piekielnych najwięcej serc zwiędło na ziemi«²⁾.

W podobnych żyć przymuszona warunkach, tęskniąc nieustannie za czemś nieznanem sobie a pięknem, trawiona ogniem wewnętrznym, który w jej łonie płonął, na ciągłą »samotność serca« skazana, żadnej nie pokładając nadziei w przyszłości, widząc młodość swą przemijającą marnie, mimowoli przesławiana myślą, że, choć piękna, jak Wenus, nie wie dotychczas, co miłość — miłość, której rozkoszy nie zaznała jeszcze, nie kochając nigdy, nie będąc kochaną, zaczęła pani Joanna z biegiem lat coraz bardziej upadać na zdrowiu, schnąć, więdnąć, tak, iż pod koniec roku 1833, za poradą lekarzy, udać się musiała na południe, do Włoch³⁾.

¹⁾ »...jakżeż im dalej iść razem po drodze życia, im, co już tylko tem jednym, tem nieśmiertelnem skute są do siebie żelazem? Jakżeż, codziennie ten sam chleb łamiąc, czekając, aż śmierć wreszcie pobłogosławi, rozdzieli?« (*Niedokończony poemat*, str. 136).

»Boże, czyś Ty sam uświęcił związek dwóch ciał? Czyś Ty sam wyrzekł, że nic ich rozerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie, pójdą każda w swoją stronę, i ciała, gdyby dwa trupy zostały przy sobie?« (*Nieboska komedia*, str. 238).

²⁾ Zob. Listy do Edw. Jaroszyńskiego (wydanie z r. 1871) str. 17 i 28.

³⁾ »...tylko nie domagała i z tej racji musiała się wychylać często za granicę, pobudki te same zniewoliły ją szukać zdrowia pod ciepłym niebem Italii«. Dr Antoni J. Op. cit. str. 17. W roku 1831, skoro wybuchło powstanie, pani Bobrowa, ażeby uniknąć burzy, udała się z dziećmi (dwoma córkami) i bliską krewną swą, Grocholską, do Drezna, gdzie między innymi osobistościami poznała także i Juliusza Słowackiego.

I.

Pod lazurów niebem Italii, w Rzymie, do którego zajechała na zimowe leże, owiała ją odrazu inna (zahajeckiej niczem nie przypominająca) atmosfera. Przedewszystkiem, w miejsce szarego, monotonnego krajobrazu północy, ujrzała nagle — pierwszy raz w życiu — wysmukłe cyprysy, oliwne drzewa, wszędzie bluszcze po skałach, kwiaty i to światło południowe, słoneczne, tak przejrzyste i jasne, »wszędzie ten puch niebieskawych i tę parę muślinową, co zwykła owijać góry i wody włoskie«; a następnie znalazła się w towarzystwie, które również, podobnie jak i klimat rzymski o tej porze, niczem nie przypominało zahajeckich »przyjaciół-sąsiadów« pana Teodora. Towarzystwo to, przeważnie arystokratyczne, a więc wykultne i eleganckie, składało się szczęśliwym zbiegiem okoliczności z samych prawie bliższych lub dalszych jej krewnych, tak, iż poczuła się tu od razu, od pierwszej chwili, między swoimi. Patronką towarzystwa tego, przezywanego się żartobliwie »gronem ukraińskim«, była księżna stolnikowa Dorota Czartoryska, z domu księżniczka Jabłonowska, i przez to samo krewna pani Bobrowej, której siostra, Józefa, wyszła, jak wiadomo, za księcia Karola Jabłonowskiego.

»Księżna Civita Vechia da vero« (bo tak nazywali pomiędzy sobą członkowie »grona ukraińskiego« księżną Stolnikową) osiadła na starość w Rzymie, w klasztorze Urszulanek, nie jako zakonnica, ale jako lokatorka, na dewocy. W wyjątkowych tylko razach opuszczając mury klasztorne¹⁾, w pokojach swych, przed klauzurą, przyjmowała całe ówczesne — doborowe — towarzystwo polskie, »a wszyscy, co znali tę relikwię XVIII wieku, świadczą zgodnie, że księżna Stolnikowa zachowała do śmierci najpiękniejsze oczy w Koronie i Litwie, i najrzadszy, najmiłszy wdzięk w rozmowie i obejściu«²⁾.

Kontrastem księżnej Stolnikowej litewskiej była ostatnia z Granowskich, księżna Kazimierzowa Lubomir-

¹⁾ Zob. Listy z podróży Ant. Edw. Odyńca t. III, str. 108, 109 (Opis rautu u Potockich).

²⁾ St. Tarnowski, *Zygmunt Krasiński* (Kraków 1893) str. 158. Zdanie to prof. St. Tarnowskiego potwierdza w zupełności Ant. Edw. Odyńca, który o księżnie Stolnikowej litewskiej w swoich »Listach z podróży« (t. III str. 93) pisze, co następuje: »...przez długie lata prowadziła tu świetny i otwarty dom, a teraz usunęła się całkiem od świata i mieszka na dewocy w klasztorze Urszulin, budując wszystkich swoją pobożnością, jak dawniej zachwyciła uprzejmością i wdziękami«. »Ośmdziesięcioletnia już może księżna stolnikowa Czartoryska siwiuteńka, jak gołąbek, staruszka (w r. 1829) była jakby idealnym obrazem tych starodawnych matron naszych, z których chyba opisów życia można sobie wymarzyć taką postać, jakąśmy tu na jawie widzieli: tak pełną razem wdzięku i powagi wieku, słodczy i charakteru, skromności i prawie pokory, a zarazem takiej godności, jak się to wszystko w wyrazie jej twarzy i w całym obejściu maluje. Ona to właśnie była środkowym punktem, około którego zebrali się tak ochoczo i licznie grono najpierwszej arystokracji tutejszej«. »Pamięć dawnej jej uprzejmości i wspaniałości światowej, połączona ze czcią dla jej wieku i cnót chrześcijańskich, czyni ją dotąd celem ogólnego szacunku i uszanowania«. — Od reguły tej odstąpił jeden tylko Juliusz Słowacki, który w swoich *Niepoprawnych*, opisując towarzystwo rzymskie (towarzystwo, pośród którego obracali się Fantazy — Krasiński, i Idalia — pani Bobrowa), o księżnie Stolnikowej — bo nikogo innego mieć tu nie może na myśli — pisze w ten sposób:

Jedna hrabina pobożna,
Której spadają loki aż na ramię,
A w każdym włosie pierścieniu ukryty
Albo Kanonik albo Monsignore.
Dewotka! (*Niepoprawni*, akt I, scena IX).

Słowacki, będąc w Rzymie w r. 1836, musiał razem z Krasińskim, odwiedzać księżną Stolnikową w jej »celi« klasztornej. — O księżnie Stolnikowej Czartoryskiej (matce pań Arturowej i Alfredowej Potockich) zob. w »Listach Zygm. Krasińskiego do Adama Sołtana« str. 195, 219, 220.

ska. O ile tamta, pomimo, że przyjmowała gości swych za kratą klasztorną, miała starość pogodną, jasną (tak jasną, jak gołębia siwizna jej włosów) o tyle ta, choć »przez całe życie nie zrobiła nic złego, a dobrego wiele«, patrzyła na wszystko przez pryzmat czarnej melancholii, w której pogrążona, »pędziła ostatnie lata (nietylko w Rzymie, ile w Wiedniu) w dręczących obawach o zbawienie swojej duszy, w przywidzeniu, że nie może być zbawioną«. W domu jej, »pustym najczęściej« i ponurym, jak każdy dom, gdzie się znajduje osoba chora, najczęstszymi gośćmi bywali: młody Krasiński i pułkownik Adam hr. Sołtan¹⁾. Ten ostatni, natura niezmiernie prawa i sympatyczna, był duszą całego »grona«. Nazywano go też powszechnie »pułkownikiem«, ponieważ istotnie, gdzie chodziło o zabawę, on przewodził całemu »gronu«, jak pułkownik żołnierzom.

A liczyło »grono« to wielu członków²⁾. Należeli bowiem do niego: Edward Jaroszyński, przyjaciel Zygmunta Krasińskiego, jeszcze z czasów warszawskich, a pani Bobrowej nietylko sąsiad bliski, ale i krewny niedaleki³⁾; Konstanty Danielewicz, doktor, filozof i artysta-muzyk, a Krasińskiego nieodstępny przyjaciel; Otton Rajecki, młody Litwin, »rzewny, skromny, a wesoły kompan, uciekający od suchot«; Dr Sauvan, nazywany »Salvanusem« przez Zygmunta, który rozdrażniony nerwowo i od dłuższego już czasu chory na oczy, potrzebował wciąż jego opieki; Aleksander Potocki, emigrant, syn Szczęsnego z Greczynki⁴⁾, a pani Bobrowej jeszcze z czasów panieńskich i poślubnych znajomy i... wielbiciel; Stanisław Sołtyk, narzeczony znanej z życia Mickiewicza Henryki Ankwicówny, w tym roku wyjątkowo nie obecnej w Rzymie⁵⁾; Franciszek Skibicki,⁶⁾ późniejszy szambelan, a podów-

czas kurator... honorowy szkoły żytomierskiej, właściciel majątku na Wołyniu, (a więc sąsiad pani Bobrowej) ożeniony z Heleną Drzewiecką, również — jak Otton Rajecki — uciekający przed suchotami; ksiądz Stanisław Chołoniewski, także Wołyński¹⁾; Aigne, budowniczy warszawski, który służył pod Kościuszką, a niecierpiał francuzczyzny, choć sam francuzkiego pochodzenia²⁾; Chiavari, Włoch, zaprzyjaźniony z Sołtanem i Krasińskim, i biorący czynny udział w zabawach »grona ukraińskiego«; a wreszcie książę-bankier Aleksander Torlonia, przezywany »generałem Aleksandrem«, osobistość w Rzymie podówczas bardzo popularna³⁾.

Popularność tę zawdzięczał przede wszystkim olbrzymiemu majątkowi, a następnie urządzanym przez siebie... balom, — balom, które już w roku 1830 natchnęły Ant. Edw. Odyńca do zaimprovizowania następującego czterowiersza:

Bo że nietylko sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za łakocią goni,
Więc się na bale bankiera Torloni
Zbiera tłum Duków, Grafów i Bogaczy⁴⁾.

listu z d. 14 kwietnia 1835 (Neapol, do Sołtana), listu, w którym miennymi czytamy co następuje: »Jeśli człowiek, który się *positif* urodził z łaski Pana Boga, chce się poetycznym wydać to dziwoląg nadzwyczajne z siebie robi... Tacy ludzie tak robią poezję, jak szewc kiepskie buty, tę jednak nad szewcem wyższość zachowują, że buty ciasne bolą nas, a ich śmieszność, rozśmieszając nas, zdrowia nam przysparza« i t. d. i t. d. (Zob. Listy Zyg. Kr. t. II str. 11).

Słowacki, który poznał Skibickich w Rzymie w r. 1836, tak opisuje Szambelana w *Niepoprawnych*:

Przy ruinach drzymie
Jeden katolik Polak — i Szambelan
Cesarskiej Mości, wielki filharmonik:
Bogaty złotą lirą Apollina,
Śpiewa, ale tak, jak Egeryi ponik,
Mrucząc: niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa, młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą.
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pitagor z całą swych uczeni gromadą
Milczącą siedzi w nim; a rzeczby można,
Że swojej szkolnej zasady nie łamie.

(*Niepoprawni*, akt I, scena IX).

A i żonie Szambelana nie darował złośliwy Juliusz, którą (zarówno jak i panią Bobrową) miał na myśli, kiedy pisał następujące wiersze:

Najwięcej blade są (kobiety) i bardzo chore,
Ruiny kobiet, resztki Karlsbadu,
Wód stalaktyty, zgasłe Wezuwiusze.

(*Niepoprawni*, akt I, scena IX).

W roku 1838, z Florencji dnia 2 stycznia pisze Słowacki do matki, co następuje: »Nietylko wizyty, ale znajomi moi dręczą mnie mnogimi listami, na które nie wiem, co odpisywać i tak wystawcie sobie, że nawet Szambelan Skibicki z Pizy, gdzie teraz dla klimatu cieplejszego z żoną siedzi, ni z tego ni z owego, wypalił do mnie list esencyonalnie poetyczny o nachylonej wieży, o Campo Santo, o profesorze prawa, o Dancie, i o wszystkich rzeczach, które jego są, a ja zaś biję się w czoło, myśląc nad odpowiedzią, a naprzód nad tytułem, który na wierzchu listu przeświecniemu korespondentowi należy się«. (Listy t. II, str. 23, 24).

¹⁾ Odyńca, Listy z podróży, t. III str. 391.

²⁾ Zob. księdza Jana Siemieńskiego »Ewunia« str. 83.

³⁾ Aleksander Torlonia, bankier, zaprzyjaźniony z Krasińskim i Sołtanem. Rękopis »Nocy letniej« spoczywał długo u niego w przechowaniu (Zob. Listy do Sołtana str. 55, 56, 82, 134, 156). Był on bratem Chiavari'ego.

⁴⁾ Ant. Edw. Odyńca, Listy z podróży t. III str. 15.

FERDYNAND HÖSICK.

(Ciąg dalszy nastąpi).



¹⁾ Pułkownik Adam Sołtan, jako urodzony z Radziwiłłówny, był przez to Krasińskiego i pani Bobrowej (siostry ks. Cecylii Radziwiłłowej) krewnym bliskim.

²⁾ O »gronie ukraińskim« zob. u Dr Antoniego J. który, mając przystęp do archiwum rodzinnego Jaroszyńskich, korzystał również (jak sam o tem wspomina na str. 39) z korespondencji prywatnej Edwarda Jaroszyńskiego.

³⁾ Matka bowiem p. Czesława Jaroszyńskiego, ojca Edwarda, rodziła się z Bobrowej (Dr Antoni J.).

⁴⁾ »Ale oprócz tej opieki płci pięknej dał nam tu jeszcze Pan Bóg współ-pielgrzyma, który co do wożenia nas i fundowania obiadów, gotówby choćby codziennie z największą ochotą być naszym Mecenase i Amfitryonem. Jest to przybyły niedawno (w r. 1830) hr. Aleksander Potocki, syn Szczęsnego, dziedzic Tulczyna i Zofiówki, milionowy bogacz (w r. 1830), ale który z pozoru i usposobienia wygląda raczej na Kwakra, tak sam o tem swem państwie i bogactwie nie myśli, i tak jest pełen dobroduszej prostoty, w najlepszym tego słowa znaczeniu...« (Odyńca. Listy z podr. t. III. str. 191).

»W Lipcu 1825 r. prezentuje się pani Joanna w Zofiówce pod Humanem, zwracając uwagę wszystkich swoją niezwykłą urodą. A tłumy publiczności na owego S-go Piotra były tak znaczne, że przybyśże opłacali po kilkadziesiąt rubli chatkę do przenocowania. I te tłumy, jak w tęczę wpatrywały się w twarz przedziwnie pięknej pani, której honory gospodarza domu robił hr. Aleksander Potocki, królewskie jej niejako składając hołdy.«

(Dr Antoni J. Op. cit. str. 16. — Drzewiecki, Reszta pamiętników, II, 361).

⁵⁾ Zob. »Ewunia« przez księdza Jana Siemieńskiego (Lwów 1888) str. 160—163.

⁶⁾ Szambelan Franciszek Skibicki był człowiekiem przesadzonym i, wskutek tego, komicznym. Krasińskiego natchnął on do napisania

Z NAJŚWIEŻSZEJ LITERATURY ANGIELSKIEJ.

(Rob. Buchanan: *The wandering Jew*. Christmas Carol. — 1893).

Gdy przychodzi cudzoziemcowi rozglądać się w obcym dla siebie piśmiennictwie, największą trudność spotyka w zrozumieniu względnego stanowiska świeżo odczytanych pisarzy. Zdarza mu się — albo ponownie odkrywając Amerykę — wysławiać zalety już przeżytej szkoły, albo brać pozbawionego samodzielności ucznia za mistrza, albo pomijać właśnie te utwory, które w danej chwili najlepiej odzwierciedlają duchowy nastrój społeczeństwa. Najśnadniej popełniane są tego rodzaju omyłki krytycznej perspektywy, gdy rzecz idzie o współczesne piśmiennictwo Wielkiej Brytanii. Panuje tam taka niewyczerpana płodność, manifestuje się na każdym kroku taka żywotność, istnieje tyle oryginalnych talentów, że można z po za drzew, jak mówi niemieckie przysłowie, nie dojrzeć lasu. Łatwem jest doradzać wyłączenie czytanie dzieł typowych, a pozostawienie na stronie podrzędnych, ale jak radę taką w czyn wprowadzić, na to nie znamy recepty.

Wyjątkowo szczęśliwym uważać się może piszący — rozpoczynając tutaj pogadanki o umysłowym ruchu angielskim, z nowym dla siebie kregiem czytelników — że znalazł się w obec utworu, który od kilku tygodni stał się przedmiotem gorących polemik, który poruszył najważniejsze z zagadnień, jakie nie tylko Anglia, ale ludzkość ma przed sobą — zagadnienie religijne — i który pozwolił zapuścić na samo dno społeczeństwa badającą sondę. Nie teolog, nie scholastyczny filozof, nie pedantyczny moralista, ale poeta, poeta wysoce popularny, jeden z filarów umysłowego angielskiego świata, wystąpił z napaścią nie na kościół, nie na dogmaty tej lub owej religii, ale na chrześcijaństwo jako taki. Od miesiąca z górą czytamy codziennie w dziennikach rozmaite opinie poważnie odpowiadające na pytanie: ażali skończyła się już rola chrześcijaństwa? I nie żart to żaden, ale argumenta za i przeciw uszeregowane w wojennym szyku. Gdy uprzytomnimy sobie w umyśle, że intelektualny ten fenomen powstał na gruncie angielskim, to jest na tym właśnie, gdzie chrześcijańskie podstawy zdawały się nienaruszonymi, to zdumienie nasze wzrasta jeszcze. Zgodzi się zapewne czytelnik, że warto zatrzymać się nad tego rodzaju utworem choćby dla sprawdzenia, czy z tej zapalanej głowni, zuchwale ciśniętej w łono społeczne, wybuchnie pożar, czy też skończy się na dymie i śwędzie.

Poemat *The wandering Jew*, o którym mówimy, wyszedł z pod firmy pp. Chatto i Windus i w ciągu pierwszego miesiąca rozszedł się w trzech wydaniach. Autorem jego jest p. Robert Buchanan. Imię jego nie od dzisiaj znanem jest w piśmiennictwie angielskim, którego rozmaite działy, a wszystkie nie bez odznaczenia, uprawiał. Szkot z urodzenia, a zatem należący do rasy bogobojnej, purytańskim moralnym ferworem przejętej, energicznej, hartownej; te ostatnie przynajmniej rysy niezaprzeczenie posiada. Mając wielkie materyalne trudności do pokonania, potrafił wybić się na jaśnie nie tylko w swej rodzinnej zagrodzie, ale i w Londynie, gdzie walka o reputację i powodzenie literackie jest kolczystą. Młody jeszcze Robert Buchanan — urodził się w r. 1841 r. — jako nowelista, jako romansopisarz, jako krytyk, essayista, jako dramatyk na koniec, wyrobił sobie stanowisko, jeżeli

nie przyczółkowe, to wcale jednak niepoślednie. Żaden jego utwór nie przechodzi niepostrzeżenie; rachuje się z nim krytyka.

Od czasu, jak nie potrzebuje już pracować na chleb powszedni, Buchanan rzucił się na pole poetyckiej twórczości. Jak powiedziano trafnie chciał on być nie tylko angielskim krytykiem, ale i szkockim bardem i pogodzić w ten sposób w swej osobie dwa dotąd nie pogodźalne pierwiastki. I to przedsięwzięcie mu się powiodło. Z łatwością produkcyi jaka go cechuje, puścił już w świat od 1870 r. gdy się pojawił *the Book of Orm* nie jeden poemat; pomiędzy niemi *Shadow of the sword* (1876) i *City of dream* (1889) pokazały go mistrzem formy i duchowo ukończoną indywidualnością. Najdoskonalszym jednak dotychczas wyrazem jego muzy był zbiór obrazów z życia londyńskiego p. t.: *London Poems*. Malowniczość w opisie, siła i energia w pochwyceniu głównych rysów, patetyczność nastroju, zostawiająca miejsce dla *humour'u* i ironii cierpkiej — oto niezaprzeczone zalety tych szkiców. Poeta ukazał się realistą w pojęciach, w całej swej modle umysłowej, a nie tylko w wyborze scen pospolitych nie łatwo do diapazonu poetyckiego doстроить się dających.

Mógł się zaprawdę Buchanan zadowolnić już zdobytym stanowiskiem w piśmiennictwie krajowym w ogóle, a w poezyi w szczególe. Gdy przed paru miesiącami zmarł najwytworniejszy z współczesnych wieszczów, Lord Tennyson; wśród plejady poetów, która powołana być mogła do odziedziczenia po nim berła laureata, znaleźli się i tacy, którzy postawili jego kandydaturę. Nawet gdy się jej nie brało na seryo, to samo pomieszczenie go pomiędzy ewentualnymi spadkobiercami piewcy *Idylli o Królu*, zapewniać mu się zdawało oficerską rangę pomiędzy poetami.

Nie ma potrzeby biedzić się nad wyszukaniem pobudek, które popchnęły Buchanana do napisania obecnego poematu. Być może, że pozazdrościł Karolowi Swinburne jego krańcowego radykalizmu, a Williamowi Morris jego socjalizmu i chciał wyrównać dwom najznakomitszym dzisiejszym poetom, a nawet ich zakasować, pluając w niebo; być może, że i na niego powiał ten wichur ekscentryczności, który tylu myślicieli anglo-saksońskich oszołomił i wyjałowił; być może, że w dobrej wierze zaryczał pieśnią, która mu się pod wpływem pewnej jednostronnej syntezy zdawała być w danej chwili wyrazem prawdy najwyższej, wieczystej. Jakiegokolwiek zewnętrzne, okolicznościowe, czy też psychiczne powody tłumaczyć mogą genezę obecnego poematu, niepodobna nam owocu jej uznać jako dodatny, jako cenny nabytek poetycznej niwy angielskiej.

Jakby przez nadmiar ironii autor nazwał swego *Żyda-Tulacza* »a Christmas Carol«, t. j. naiwnymi, pobożnymi legendami, które przy jasełkach śpiewane bywają w epoce upamiętniającej najdonioślejsze dla chrześcijańskiego świata zdarzenie. Osnowa poematu nie zostawia jednak czytelnika w wątpliwości co do istotnych zamiarów autora. Opowiada nam on na wstępie, jak w wieczór wigilijny spotkał wycieńczonego, wynędzniałego starca, uosobienie wielowiekowych cierpień i jak zrazu podejrzewał w nim Ahas-

verusa. Wkrótce jednak przekonywa się z ust jego, iż ma przed sobą nie kogo innego, jak samego Chrystusa.

Po tym pierwszym wstępnym rapsodzie, posiadającym istotnie — jak przeczyć nie myślimy — ustępy

wania religijne, wezwani są przez inkwizytora do świadczenia przeciwko Chrystusowi; ich cierpienia mają być jego potępieniem. I ciągnie się długa procesja oskarżycieli, wśród której widzimy: Judasza i Ahasverusa, Pilata, Tyberyusza i Nerona, Juliusza

O. KRASZEWSKA.



PO RAUCIE.

plastycznego piękna, fantazja poety przerzuca nas jednym zamachem do nadziemskiego trybunału jakiegoś, gdzie Duch człowieczy zasiada do sądu nad Synem Boga, znajdującego się raz jeszcze na ławie oskarżonych. Wszyscy, którzy kiedykolwiek i w jakiegokolwiek formie i rozmiarach cierpieli prześlado-

Apostatę i Hypatyę, Mahometa, Buddhę, Zoroastra, Mojżesza, Konfucjusza, Prometeusza. Pierwsza to dopiero serya hultajskiego bigosu. W następnej jak widma cmentarne przemykają się przed nami ofiary prześladowań papieży: Galileusz, Bruno, Abeilard i Heloiza, Kolumb, Vasco de Gama, Magellan, Mon-

tezuma, a Voltaire, J. Colas, encyklopedyści dopełniają orszaku, po za którym jako nieprzejrzana rzesza kroczy cały naród żydowski, niezasłużenie dźwigający klątwę od dwóch tysięcy lat.

Po tym akcie oskarżenia, który sto stronic blisko poematu obejmuje, spodziewać się mamy prawo drugiej części procesu, obrony oskarżonego, który prawdopodobnie będzie miał co do powiedzenia za sobą. Istotnie Jan Chrzciciel, św. Paweł, Magdalena i Bogarodzica, wzywają Chrystusa, aby zabrał głos w swej obronie. Ale, o dziwy! on tylko łzami się zalewa, utyskuje i na koniec przyznaje się, że marzenie jego o zbawieniu ludzkości było tylko złudą, tylko senną marą, że zamiast podnieść, uszlachetnić człowieczeństwo, jego nauka i jego zasady rzuciły jedynie wśród niego kość niezgody, zbroczyły ziemię kałużą krwi i zapełniły jękiem prześladowań. Nie wystarczało sądowi Ducha Czasu potępić dzieło Chrystusowe, ale jako najwyższy tryumf udało mu się otrzymać z własnych ust oskarżonego potępienie tego, co zrobić zamierzał i tego co zrobił, przyznanie się do bezwzględного bankructwa. Ani większej kary, ani większego upokorzenia wymyśleć niepodobna.

Streściliśmy poemat w najobiektywniejszy sposób i moglibyśmy niczego więcej do tego streszczenia nie dodać. Tuszymy, że czytelnicy uwolnią nas od wszelkiego mieszania się do tak postawionej tezy. Stawać w obronie chrystyanizmu, wykazywać co zrobił dla świata, jak go podniósł i przekształcił, jest jednym z tych zadań, których na seryo nikt już za dni naszych, wśród ucywilizowanych społeczeństw podejmować dobrowolnie nie zechce. Nie udowadnia się, że słońce świeci, że przypływa i odpływa morze; są to pewniki moralne, tak samo jak materialne! *Passons!*

Byłoby także płonnym wysiłkiem erudycy przytaczać szereg poetów, którzy szukając herostratowej sławy, wyprzedzili Roberta Buchanana w jego gwałtownej na chrześcijaństwo napaści. Każdy z nas potrafi na palcach wyliczyć tych, którzy pomimo tak ciasnego poglądu, utrzymali się na wyżynach; z drugiej strony zaś *de minimis non curat praetor*. Łatwiej zrozumieć hallucynacje u geniusza — dlatego, że jest geniuszem — ale brednie plecione na zimno, bronienie paradoksu dla uzyskania poklasku u tłuszczy pochlebającej sobie, że wniknęła w samą duszę ludzkości, nie mogą się spodziewać usprawiedliwiających okoliczności. Przyznajemy się otwarcie, że rozumiemy do pewnego stopnia poezję jak *Blasphèmes* Jana Richepin, choćby dla tego, że są po prostu liryką człowieka, który nie rości żadnej pretensji do solidaryzowania się z naszą aryjską rasą. Ale panu Buchananu podobało się postawić zagadnienie na historycznym gruncie. Takie umyślne fałszowanie nauki, jaka z historii płynie, takie zamykanie oczów na najelementarniejsze jej wyniki, jest nie do darowania. Nie mylimy się prawdopodobnie przypuszczając, że właśnie ten rysunek pseudo-historyczny, który przywdział,

będzie najprzedniejszym potępiającym go argumentem.

Skończyliśmy z poematem i z autorem. Pozostaje jeszcze jednak odpowiedzieć na interesujące pytanie: jak się dzieje, że tego rodzaju utwór obudził żywe wrażenie, że zainteresował, że wywołał polemikę, że znalazł stronników. W społeczeństwie angielskim — którego życie religijne nie przestało trzymać w swych karmach i przenikać swymi sokami — polemiki religijne pomiędzy kościołami różnych wyznań, pomiędzy rozmaitemi sektami, są wypadkami codziennymi, zwykłymi i nie ma zwyczaju zwracać na nie szczególnej uwagi. Ale tym razem chodzi o coś więcej, bo o sam chrześcijaństwo, o jądro i ducha nowoczesnego świata, o całość doktryny, która zrobiła człowieczeństwo tem czem ono jest. Niepodobna zrozumieć nam świata nie przenikniętego na wskrós chrześcijaństwem, i nie ma hipotezy, któraby nas zaspokoić mogła pod tym względem. Jakiegokolwiek ewolucye czekają ludzkość w następnych, dalekich stuleciach, nie będzie ona w stanie zmasać z siebie piętna raz na zawsze wyciśnionego.

To przeświadczenie przyczyniło się wielce, bez najmniejszego wątpienia, do spokojnej, pogardliwej pobłażliwości, z jaką najpodniosłejsze umysły rymowaną filipikę p. Buchanana przyjęły. Jako inny wewnętrzny powód do tego samego zdążającego rezultatu, uważać należy głęboko zakorzenione w społeczeństwie angielskim poszanowanie swobody indywidualnej opinii. Nie przychodzi nikomu na myśl uciekać się do prześladowania albo do protekcji prawa, gdy swobodnie zdania i opinie z sobą ścierać się mogą. Spokojny, flegmatyczny charakter angielski zdolny jest do utrzymania się na wyżynach teoretycznej dyskusji, nawet w kwestyi drażniącej indywidualne sumienia.

Ale jeżeli można te i inne usprawiedliwiające ten stoiczny spokój powody wymienić, to byłoby przesadą, systematycznym zamykaniem oczów na istniejący stan rzeczy, utrzymywać, że wśród społeczeństwa angielskiego sceptycyzm filozoficzny i agnostycyzm nie wyłłóbił sobie koryta. Owszem, są tego rozmaite symptomy. Stara, tradycyjna Anglia kruszy się z dniem każdym widoczniej, wyłączności jej znikają, a równia cywilizacyjna i tam schyla do jednolitego poziomu coraz większą ilość osobników. Jeżeli na powierzchni towarzyskiej nie widać jeszcze oznak fermentu, to nie można istnienia jego zaprzeczyć w głębiach towarzyskich. Coraz szerszy jest zastęp pisarzy i myślicieli, czyniących rozbrat stanowczy z tym religijnym ideałem, który zagrzewał dawniejsze pokolenia. Dawniejsze — odwróciłyby się były ze zgrozą, z pobożnem oburzeniem przed takim utworem, jak ostatni poemat Buchanana; dzisiejsze — bez oburzenia, bez zgrozy, a z obiektywnym spokojem zastanawiają się nad postawionym problemem. Nie bierzemy na się rozstrzygać, czy to gorzej czy lepiej, ale że inaczej, to wątpliwości nie ulega.

M. E. NEKANDA-TREPKA.



PROFILE POETÓW CZESKICH.

I.

JAROSŁAW VRCHLICKI.

(Emil Frida).

Jarosław Vrchlicki skończył dnia 16 lutego r. b. lat czterdzieści życia — i Czesi, a zwłaszcza pisarze czescy, uroczystie dzień ten uczcili. Obok innych wyrazów podziwu i przyjaźni — niechaj i nasze stana.

Vita brevis, ars longa. Rzadko kiedy przysłowie to słuszniej, niż tutaj — co do ogromu pracy twórczej — zastosować by się dało. Czterdzieści lat życia, dwadzieścia mniej więcej — działalności poetyckiej, a — jako owoc ich — sto dzieł przeszło, dzieł, z których każde z osobna jużby autorowi swemu poczesne miejsce w literaturze zapewnić mogło. Bo nie mówiąc o czterdziestu i kilku tomach poezji lirycznych i epicznych, które nową w literaturze czeskiej tak co do treści, jak i co do formy otworzyły epokę, o dwudziestu utworach dramatycznych, oraz o kilku tomach prozy twórczej i analitycznej — wszakże taki n. p. przekład »Boskiej Komedy«, równie u nas, jak w bogatszych nawet piśmiennictwach, zapisuje sam już trwale imię swego wykonawcy na tablicach historii literackiej, a Vrchlicki takich przekładów dokonał całego szeregu*) i to dokonał po mistrzowsku, tak, jak jedynie wielki poeta dokonać może. Olśniewająca ta płodność, z przysłowiową chyba produktywnością Lope de Vegi porównać się dająca. Jeden człowiek — a całe morze twórczości, jedno życie, lub raczej jego połowa zaledwie — a cały prabór poezji!

Vita simplex, ars universalis — możnaby w dalszym ciągu przekształcić pierwotną cytata i tak przekształconą, wielostronnie do Vrchlickiego zastosować. Bo życie trudno sobie istotnie wyobrazić »bardziej przygód wszelkich pozbawione, prostsze i spokojniejsze«. Urodziny z niezamożnej rodziny kupieckiej w małym miasteczku Lounach; lata dziecięce spędzone na wsi pod opieką wuja, proboszcza wiejskiego; studia gimnazjalne w Slanem, Pradze i Klatowach, rozczytywanie się namiętne wówczas już w arcydziełach literatur europejskich i pierwsze próby poetyckie; wahanie przy wyborze zawodu, pół roku w seminarium, trzy lata na wydziale filozoficznym uniwersytetu pragskiego, wielki niedostatek, zwłaszcza po śmierci ojca; wyjazd do Włoch w charakterze guwernera u rodziny Montekukulich, rok tam spędzony, powrót do Pragi, suplentura w instytucie nauczycielskim, potem posada sekretarza politechniki; małżeństwo z córką znanej powieściopisarki Zofii Podlipskiej, ciche życie rodzinne, kolejne urodziny dwóch córek i syna; parę podróży, z zasiłku stowarzyszenia *Svatobor*, po Francji, Belgii, Holandii, Niemczech i Danii; zwykłe i znane każdemu, kto z pod strychulca wychylił głowę, napaści zawistnych i miernot; dowody uznania: mianowanie akademikiem, doktorat *honoris causa* i t. p. — oto wszystko, co biografowie poety wydestakować i czytelnikom podać mogli. A poezja? W niej ciasne widnokręgi żywota wewnętrznego rozbiegają się w nie-

skończoność: wszystkie kraje i światy, wszystkie wieki i czasy, wszystkie światła i mroki, wszystkie barwy i tony, wszystkie kształty i formy, wszystkie uczucia i myśli:

Westchnienia żalu, grzmot fal u wybrzeży,
Harmonia dzwonów, gdy gaśnie krąg słońca,
Szum drzew, gdy noc je płaszczem swym okryje,
Krzyki radości, jęki, burza grzmiąca!

Co święte gaje tkwały w krąg Dodony,
Czem w Delfach święte usta ziemi drżały,
Kiedy z pieczary dym wychodził wonny;
Co groźnym głosem Erynnie śpiewały,
Kiedy przed krzyżem Olimp czoło skłonił,
A z Zeusa rąk wypadły gromów strzały;
Klątwy Kaina, gdy grzech go w świat gonił,
Płacz, gdy potopu wód lały się rzeki,
Czem Memnon w puszczy na wschód słońca dzwonił,
Co prorok widział w pielgrzymce do Mekki,
Co Faust wyjęczał, krocząc błędów cieniem,
Co łkał Ahaswer, błędząc lata, wieki;
Wściekłość Samsona, gdy chram lwim ramieniem
Wstrząsł; jęki wieszczów, których nic nie stłumi,
I śmiech cynika nad ludzkim spodleniem:

Wszystko w tej pieśni jęczy, płacze, szumi,
Łka, woła, wzdycha, walczy, grzmi i zgrzyta...

(»Symfonie«, Głos na puszczy).

Cały człowiek, cała natura, nieskończony, wszystko przenikający i wiekuiście tajemniczy prąd życia. Wiek nasz — po romantyzmie — dwóch posiada pieśniarzy, których lira takim uniwersalnym rozbrzmiała hymnem, których »tysiącogłosa dusza« drgała tak »w ognisku wszystkości, niby echo rozdzwiczne«: Wiktora Hugo i Jarosława Vrchlickiego. Analogij między nimi — pod względem tym — nie policzyć. Obaj ogarniają twórczością wszechświat cały — od chaotycznych ech wieków zamierzchłych, przez szlachetne linie starożytności klasycznej i pełne porywów mistycznych legendy średniowiecza, aż po ten maelstrom zagadek, wzlotów, upadków, nadziei, wątpliwości, świtów i mroków, który zwie się epoką współczesną. Obaj umieją czarodziejsko uciszać zamęt najsprzecznějších żywiołów i z burzliwych rozgwarów dobywać wielkie, symfoniczne, na dnie wszego utajone i wszystko w harmonijną jedność wiążące tony. Obaj sięgają we wszystkie sfery i rodzaje poezji: od orlejskiej ody do epiki szerokiej, od pieśni marzącej do satyry płomiennej, od dramatu do powieści czy noweli — i wszędzie lwie zostawiają ślady. Obaj jednak są przede wszystkim i nadewszystko lirykami, a w dziedzinie tej niemasz struny, która pozostałaby im obcą. Wszechogarniające ich duchy zdają się zawierać w sobie wszystkie dusze ludzkie. Do obu z równym prawem zastosować by można słowa Catulle Mendès'a o Wiktory Hugo: *il est un homme en qui vit l'homme*. Obaj z niedoścignioną wirtuozją zapanowali wszechwładnie we wszystkich zakresach sztuki poetyckiej, wydostali jej narzędzia, nowe stworzyli epoki. Hugo we Francji, Vrchlicki w Czechach — stworzyli nowy język poetycki, nowe obrazy, nowe zwroty, przenośnie, porównania, nowe rymy, rytmy, strofy, formy, rodzaje, cały nowy świat poetycki. Obaj — dzięki wszechstronności tej w formie i w treści —

*) Według obliczenia prof. Alberta, w poświęconej przedwstępny nad poetą studiom broszurce, przełożył Vrchlicki z 383 poetów francuskich, włoskich, angielskich, niemieckich, hiszpańskich, prowansalskich, katalońskich, portugalskich, wschodnich, łacińskich, ludowych i anonimowych — razem 2356 utworów, a w tej liczbie 27 wielkich poematów.

nietylko ujeli w zwierciadło poezji swej przeszłość i teraźniejszość, lecz sięgnęli też — często nieświadomie snadź — daleko w przyszłość. Hugo we Francji, Vrchlicki w Czechach — zakreślają tak ogromną orbitę, że, przez lata snadź jeszcze i lat dziesiątki, różne nowe szkoły, kierunki i doktryny poetyckie, nieraz może o tem nie wiedząc, w niej swobodnie mieścić się i rozwijać będą.

Po za uniwersalnością tą, która, zresztą, stanowi jedną z najcharakterystyczniejszych cech geniuszu obu poetów, zasadnicze między Vrchlickim a Wiktorem Hugo zachodzą różnice. Poeta czeski zwie sam autora »Kontemplacyj« mistrzem swoim. Znaczy to jednak jedynie, iż żywy przykład starszego rozbudził w młodszym wrodzone mu niewątpliwie, lecz drżące na dnie duszy usposobienie do wszechstronnego ogarniania zjawisk świata, ducha i życia, stworzył mu odrazu olśniewające niezmierzonością horyzonty, nauczył poniekąd, jak się w niezmierzoności tej kierować, dał do rozporządzenia kopalnię całą gotowych już wzorów wirtuozyi poetyckiej, obdarzył, wreszcie, pewną, szlachetną w praktyce, lecz w teorii empiryczną i niedość głęboką filozofią humanitarne racjonalizmu, która, i u niego samego i u Vrchlickiego, w refleksyjnych głównie utworach, kędy retoryka nad poezją przemaga, na jaw wychodzi. Na tem wszakże koniec. W jedną, bo wszechwidnokreśną drogę puścili się obaj poeci, ale każdy innego dosiadł rumaka i rymsztunek przywdział inny, a w różnicy skłonności i upodobań tych zaznaczyły się nietylko właściwości indywidualne, lecz i plemienne nawet odrębności. W Wiktorem Hugo, tym pół-Hiszpanie, a w każdym razie nieodrodnem latyńskiej rasy dziecięciu, dominuje — jak słusznie zauważył Bourget — władza obrazu, zdolność plastycznej ewokacji wewnętrznej, wyobraźnia specjalnie — że się tak wyrażę — wzrokowa, malownicza i wypukłorzeźbna, jednym słowem, — wizjonerstwo rzeczy, któremu w zewnętrznych wyjawach twórczych odpowiada wizjonerstwo słów, przedziwna sztuka wynajdywania wyrazów, uwydatniających ideę z całą intensywnością jej kolorytu, ze wszystkimi zagięciami jej fałdów i draperyj, jednym słowem potęgą ekspresyi plastycznej. Istota poetycka Vrchlickiego — może bez wiedzy samego poety — ku innym zupełnie grawituje słońcom. Cechą słowiańskiej jego natury jest raczej uczuciowa, aniżeli zmysłowa wrażliwość, reagująca nietylko na wyraziste kontury, barwy i wypukłości, ile na te niepochwytne wiewy, nastroje, rytmowania się bytu, które z tajemniczej głębi rzeczy, niby białe opary z wód toni, się podnoszą. Wyobraźnia o psychologicznym, uczuciowym, więcej, nieświadomie mistycznym charakterze, daje mu nie obrazy, nie ewokacje plastyczne objawów świata i ducha, lecz jak gdyby echo gędziebne ich harmonii, nie olbrzymie wizye Wiktora Hugo, lecz wewnętrzną jakąś *musicam rerum*. Kształty, barwy, tony, aromaty i cała zewnętrzna strona rzeczy, są w jego poezji środkami jedynie do wywołania jakiegoś nie bezpośrednio w zmysłach leżącego, lecz gdzieś dalej, w niezbadanych po dziś głębiach istoty ludzkiej kryjącego się uczucia, instrumentami, których akord dobrany budzi spółbrzmienie w tajemniczych, niepochwytnych strunach natury naszej i wytwarza to, czemu nazwę *Stimmung* dajemy. Ztąd unikanie wszelkich gwałtownych przeskoków i jaskrawych przeciwstawień, ztąd przedziwna intuicja w używaniu łagodzących, harmonizujących półtonów i półcieni, ztąd największe zbliżenie się do

muzyki, tej mowy niepochwytnej wibracji ducha, ztąd mniejsza snadź plastyka, lecz za to rozmarzająca śpiewność wiersza, ztąd upodobanie specjalne w najmelodyjniejszych rytmach, strofach i stałych formach liryki. Wszystko to jest też poniekąd wynikiem innych jeszcze cech natury słowiańskiej: słodyczy, łagodności, pogody, skutkiem których nie znosi ona dysonansów i dąży wszędzie do spokoju, zgody, spóldźwięku, podczas gdy charakteryzujące znów szczep romański: krwistość, namiętność, gwałtowność, wyjawily się z całą mocą u Wiktora Hugo w nadmiarze jaskrawych, szalonych, niepodobnych — zda się — do szarmonizowania, czasem upajających, a czasem ogłuszających starć, kontrastów i antytez, z których zgiełku i burzy wypływa potem dopiero zorza pojednania. Z niemniejszą intensywnością zaznaczyło się u obu poetów uzupełniające tę ostatnią różnicę plemienne, a po części będące jej wynikiem, odmienne u obu ras poczucie stosunku człowieka do bytu okólnego. Myślowa przede wszystkim, wprowadzająca na każdym kroku w formie plastycznej świadome, rozumowe pojęcia i abstrakcje, poezja Wiktora Hugo jest naturalnym wykwitem leżącej na dnie całego intelektualizmu latyńskiego racjonalistycznej idei panowania, a przynajmniej górowania człowieka nad otoczeniem, wyodrębnionej, aktywnej roli jego we wszechświecie. Natomiast, pewna bierność natury słowiańskiej, ulegającej raczej, aniżeli czynnie występującej, potrzebującej stymulu zewnętrznego, aby wyjawić moce i skarby, jakie w sobie kryje, — uwydatniła się z całą wyrazistością w charakterze ogólnym kontemplacyjnej, odcuciowej, pozostającej w ciągłej komunii z otoczeniem (wszystko jedno, materyalnym czy duchowym) i jak gdyby pod pobudką tego otoczenia instynktowo powstającej poezji Vrchlickiego. Obaj poeci są subiektywni, bo poezja inną być nie może, ale subiektywizm ten u każdego z nich inną ma postać i — że tak powiem — gdzieindziej się zaczyna. Dla Wiktora Hugo punktem wyjścia jest przeważnie jasna, świadoma jego idea, dla której później intuicja genialna dostarcza mu zapożyczoną ze świata zewnętrznego szaty plastycznej. Vrchlicki — w najindywidualniejszych właśnie swoich utworach — czerpie całą pobudkę z otaczającego bytu, który wywołuje dopiero w najtajemniejszych fibrach jego istoty bezwiedne nastrojowe drgnienie i subiekt jego dopiero na jaw dobywa. Obaj poeci wypisali na tarczach swych godło: inspiracja, ale Vrchlicki tylko bezwzględnie wiernym mu został. Hugo miesza z mimowiednem natchnieniem tem pierwiastek świadomych idei i tendencyj, Vrchlicki rezonansowo wprost wibrując, oddaje mu się bez zastrzeżeń. Hugo jest — aczkolwiek nie tu bynajmniej leży jego wielkość — z natury filozofem; Vrchlickiego możnaby nazwać impresjonistą uczucia. To prowadzi do dalszej, czysto literackiej, czy artystycznej różnicy. Dla Wiktora Hugo myśl jest wszystkim; jakkolwiek w pierwszej swej epoce był on twórcą właściwym teorii »sztuki dla sztuki«, jednak *de facto* oddał poezję w służbę idei, a później — w książce o Szekspirze — otwarcie to wyznał i umotywować się starał. Dla Vrchlickiego poezja »jest zawsze darem niebios, z którego najwięcej czerpać mamy, gdy najmniej o nim wiemy« (*Moja Sonata*). Cel jej — nie moralizować, nie apostołować, nie uczyć, lecz »uszcześliwiać człowieka« i w ten sam sposób uszlachetniać, w jaki uszcześliwia i uszlachetnia go przyrodzona poezja bytu, wiejąca z głębi niebios, z pół woni, z czaru nocy letniej, z piękności ko-

biecej, ze wszech zjawisk okólnych i z toni serca własnego. To też myśl, idea, fakt, ból czy szczęście, żal czy radość, wszystkie pragnienia, dążenia, uczucia, dumy, leżące jako szkiełka różnobarwne w dusznym kalejdoskopie, wszystko, co poeta zbierze w długiej pielgrzymce przez studia i życie, — to jeszcze samo przez się poezją nie jest i o niej wcale nie stanowi. To tylko martwa materya, równie podatna dla rzemiosła, jak dla sztuki. Dopiero czarodziej-natchnienie poruszy kalejdoskopem — i z garści marnych skorupiek wybłyśnie obraz cudowny; »krasy manna słodka, którą jest poezja, rozebrzmi w rytmie całym, a spadający z gwiazd pył srebrny urosi wszystko«; duch technicznie życie w martwą glinę — i wszystko nagle rozplonie

(Dokończenie nastąpi).

i rozdzwięczy się, jak leśny stok o wiosnie; z za treści, z za idei, z za barw i kształtów wyrzy »odblask wiekuistego oblicza« (wszystko jedno jak je nazwać: miłością, życiem, Bogiem, otchłanią wszego dobra — jak to czyni Vrchlicki, czy też: transcendentalną stroną istoty człowieczej, jakbyśmy to chętniej za du Prel'em powtórzyli) — i to dopiero będzie poezją (por. *Kęs poetyki i Kalejdoskop w Brewiarzu człowieka społecznego*). Nie treść zatem, a dalej: nie artyzm nawet zewnętrzny (jakkolwiek ten jest w części również cechą geniuszu), lecz zdolność wyczuwania i odsłaniania (wszystko jedno jak: przez sugestję, przez symbol, przez nastrój) w każdej rzeczy wiekuistych, nieskończonych głębin — charakteryzuje prawdziwego poetę.

ZENON PRZESMYCKI.

KONKURSOWE KANTATY NAGRODZONE.

Komitet pomnika Adama Mickiewicza (przewodniczący: *Eustachy książę Sangusko*; członkowie: *Juliusz Kossak, Henryk Sienkiewicz, Władysław Wilkosz, Wł. L. Faworski*) w charakterze sądu konkursowego, wydał w d. 20 marca wyrok oceniający utwory poetyckie nadesłane, jako tekst do kantaty muzycznej, wykonać się mającej w czasie uroczystego odsłonięcia monumentu. Nagrodzono trzy wiersze, posiadające niezaprzeczoną wartość treści i formy. Podajemy je tu w dosłownem brzmieniu, wymieniając zarazem nazwiska ich autorów. Wszyscy trzej zrywali już kwiaty powodzeń na niwie piśmienniczej.

NAGRODA I. 200 złr.

Nr. 38. Motto: »Nie porzucay nadziei,
Iakoć sye kolkwiek dzieie«.

Od Niemna, od Niemna głos wstaje i płynie
Po wielkiej, po sennej, żalosnej krainie,
O góry się ciemne roztrąca.
Konamy bez chwały, świat cicho nas grzebie,
Aż nagle coś błyska, jak jutrznia, na niebie,
Pieśń bucha, radośniej od słońca.

Ogniwym nas słupem wodziła na boje
I skrzydeł śnieżystych roztwarła nam dwoje,
Jak orzeł, nad walką oreżną.
Mogiły wyrosły, ucichły dział spiże,
Nad ziemią zwątpienia, gdzie wała się krzyże,
Pieśń czuwa, jest wierna i mężna.

Zagłada, jak miesiąc, w dziecinne kołyski,
W żrenicach młodzieńców skry budzi i błyski,
A głosem przeszłości ich woła.
Czas młodym iść z domu na trudy i znoje:
Pieśń orla swych skrzydeł roztwiera im dwoje
I ciche ma loty anioła.

Gdy wszystkie dni trwożą i wszystkie dni bołą,
A niebo się zwęża nad głuchą niedolą,
Pieśń jedna chorągwi nie rwała.
I chwałę pieśń jedna zwyciężonym wróciła...
Gdzie ufność, jest miłość, gdzie miłość — tam siła.
Poecie niech będzie dziś chwała.

Jak króla grzebano go w królów pobliżu,
A dzisiaj nam z martwych powstaje ze spiżu,
Na niebios ojczystych tle ciemnem.
Uczcijmy go pieśnią pokorną; niech płynie
Po wielkiej, po sennej, po polskiej krainie,
Zaszumi lasami nad Niemnem.

*

Co stworzył trud, co zrodził ból
I męka serc wiekowa,
To niechaj odtąd pieśni król
W spiżowej piersi chowa.

Memnona posąg pieśnią brzmiał
Gdy przeczuł wejście słońca:
Niechaj nam zabrzmi z łez i chwał
Piosenka dzień wróżąca.

My będziemy tleć, aż z naszych mąk
Płomienny duch powstanie —
Przez czystość serc, przez siłę rąk,
Przez wiarę i kochanie.

*

I ukaż się polski pieśniarzu i powiedz,
Że Tobie królewski nie starczy grobowiec,
Aż Twoja się pieśń ucieleśni.
Stój dumny i wieczny, spokojny i niemy,
My Ciebie z martwoty spiżowej wyrwiemy,
Do Twojej dostroim się pieśni.

JERZY BORSZYCKI (K. M. GÓRSKI).

NAGRODA II. 150 złr.

Nr. 31. Motto: Ἐδίκησάντων ἐμεωυτόν.

W prastarym grodzie, w stolicy królów,
Gdzie chwałą każdy oddycha głaz,
Gdzie pełna smutku, niby ból bólów,
Wielka się Przeszłość wpatruje w nas —
Naród, co klęski pisze w swej księdze,
Co ma za godło ciernie i krzyż,
Słowu bożemu, wieszczcej potędze,
W hołdzie dziś marmur składa i spiż.

*

Tu, gdzie się ludu ważyły dzieje,
Sąsiad cześć dawał, korzył się wróg,
Gdzie ongi walnych zwycięstw trofeje
Wodze do króla składali nóg:
Tu dziś wśród królów w czci i podzięce,
I wśród hetmanów postawia lud
Tego, co berło pieśni miał w ręce,
Co huf ku wielkiej przyszłości wiódł.

*

Lecz ani marmur ni twarde spiże
Nie uczczą siły, co blasków zdrój
Złała, o Polsko, na twoje krzyże
I na stuletni grobowiec twój:
Godniejszy pomnik zbudują dla niej
Serc milion, gdy przyjdzie dzień,
W którym zabici i pogrzebani
Za sprawą wieszczych odżyją tchnień.

*

A już — patrzajcie! — w onej oddali,
Przez ołowianą powłokę chmur,
Dnia tego jutrznia złota się pali,
Gotując słońcu promienny tór:
Jak Anioł Sądu, tak się kołysze
Nad mogiłami Adama pieśń,
Ażeby przerwać cmentarną ciszę,
Życiem rozeprzeć grobową cieśń.

*

W prastarym grodzie, w stolicy królów,
Gdzie chwałą każdy oddycha głaz,
Gdzie pełna smutku, niby ból bólów,
Wielka się Przeszłość wpatruje w nas.
Naród, co klęski pisze w swej księdze,
Co ma za godło ciernie i krzyż,
Słowu bożemu, wieszczej potędze,
W hołdzie dziś marmur składa i spiż.

JAN KASPROWICZ.

NAGRODA III. 100 złr.

Nr. 10. Motto: »Fortuna«.

Zerwijcie, zerwijcie zasłonę,
Niech oczy Narodu tam w górze,
Na nieba przeźroczym lazurze
Oblicze to ujrzą natchnione
Zerwijcie, zerwijcie zasłonę! —

Zygmuntowski zagrzmiał dzwon
Dźwięk w powietrzu się rozplywa,
A z tysięcy polskich łon
Serce w górę się wyrzywa
Bo tam w górze stoi On,
Co wyśpiewał polską sławę,
Czary polskich łąk i pól
I dusz polskich bóle krwawe:
Bo tam pieśni polskiej Król!

Kto wśród czarnej zawieruchy,
Wśród zamętu klęsk i burz
Wznosi serca, krzepi duchy,
I wskazuje brzaski zórz,
Kto nad kaźnie, nad łańcuchy
Mocen myśl Narodu wzniesć,
Gdzie Przyszłości jutrznia świeci —
Temu sława, temu cześć
Od stuleci do stuleci —

Sława! Cześć!

LUCYAN RYDEL.

K R O N I K A.

* Do dzisiejszego zeszytu dołączamy premium za pierwsze półrocze. Jest to rodzaj albumu, w osobnej okładce, wypełnionego trzema kartonami *Czesława Jankowskiego*, malarza, który wielkim talentem zdobył sobie w stolicy Francji powodzenie niezwykle i uznanie powszechne. Kartony te, z których tryska gorąca wiara (wyrażona symbolicznie) i poezja pełna szczerości i artystycznej prostoty, nie potrzebują pochwały, narzucają się bowiem wyobraźni jak marzenia, jak widzenia sennie, pełne niewypowiedzianego uroku. *Świat* odzwierciedla je dziś wiernie według oryginałów po raz pierwszy; po nas dopiero jedna z najświetniejszych publikacji francuskich ma je kopiować w innego rodzaju reprodukcjach. Znakomity rysownik stworzył rzecz wysoce piękną, na wskroś uduchowioną, zupełnie nowoczesną, chwytającą za serce, ale i ci, co polot jego myśli, oraz ruch wytwornego pędzla i ołówka tłómaczyli na popularny język reprodukcyjny, spełnili swe zadanie sumiennie i wzorowie. Doskonałe klisze, wykonane w głosnym zakładzie Husnika i Häuslera w Pradze czeskiej, idą o lepsze z wykwinntem odbiciem drukarni Wł. L. Anczyca i Sp. w Krakowie, której dzielny maszynista p. Koch — pod kierunkiem artysty-malarza Stanisława Tondosa — dorównał tym razem w swych odciskach najprzedniejszym wzorom angielskim i francuskim.

* Rada miejska Tarnowa na posiedzeniu w d. 20 marca uchwałą jednomyślną nadała X. Biskupowi Ignacemu Łobozowi obywatelstwo honorowe.

* Dalszy ciąg »Tragikomedii kurlandzkiej z czasów saskich« i dokończenie artykułu o nowym wydaniu dzieł Mickiewicza, musieliśmy odłożyć do zeszytu następnego.

* Prof. uniwersytetu Jagiellońskiego Dr Juliusz Leo, współpracownik *Świata*, wyruszył w tych dniach w dwumiesięczną podróż nau-

kową do Francji. Otrzymał on, przy tej sposobności, od p. ministra rolnictwa hr. Falkenhayna zaszczytne wezwanie złożenia fachowego sprawozdania o rozwoju i działalności francuskich syndykatów rolniczych. — Profesorowie uniwersytetu krakowskiego Dr Szajnoch i Dr Kostanecki wyjechali w podróż naukową; pierwszy do Francji i Belgii; drugi do Neapolu.

* Komitet wybrany przez malarzy i rzeźbiarzy polskich w Krakowie, zajmujący się wzniesieniem pomnika — uczcić mającego pamięć Artura Grottgera — rozesłał odezwę, pomieszczoną we wszystkich dziennikach, wzywając do wnoszenia składek — na ten cel przeznaczonych, a przez władzę dozwolonych — na ręce lub pod adresem p. *Seweryna Böhma*, skarbnika komitetu. (Kraków. Sukiennice). Komitetowi przewodniczy Witold Pruszkowski, a w skład jego wchodzi: Seweryn Böhm, Michał Danielak, Wiktor Barabasz, Adam Belcikowski, Ludomir Benedyktowicz, Walery Eliasz, Piotr Stachiewicz i Stanisław Tondos. I my z naszej strony jak najgoręcej zachęcamy czytelników *Świata* do składania grosza wdowiego na pomnik wzniesić się mający dla wielkiego artysty, najprzedziwniej i najwinniej uosabiającego ducha geniuszu polskiego.

* Mistrz, Henryk Siemiradzki, jak nam donoszą z Rzymu, zajęty jest obecnie wykończaniem zasłony do nowego teatru krakowskiego.

* W zeszycie z d. 15 marca czasopisma monachijskiego *Die Kunst für Alle* czytamy co następuje w sprawozdaniu z wymienionej już przez nas wystawy berlińskiej: »Z niemałym zdziwieniem dostrzega się na ekspozycji akwarel i pastelii miejscowych i zagranicznych artystek w *salonie* Amslera i Rutharda, że działalność kobiet na polu artystycznym jest niezmiernie wybitną, a nawet — jeżeli mamy być zupełnie bezstronnymi — częstokroć wybitniejszą niż męczyzn. Oczywiście, na wy-

mienionej wystawie, znaleźć można i wiele prac bardzo małej wartości, do siebie podobnych i jednostajnych; obok tych miernot jednakże znajdują się i bardzo dobre dzieła. Między ostatnimi pierwsze miejsce należy się »Małgosi« panny Olgi Boznańskiej, Polki z Krakowa, która niewątpliwie czerpała swoje artystyczne natchnienie w Paryżu. W pracy jej widocznym jest ów modny dziś paryski sposób malowania, użyty jednak przez artystkę nader oryginalnie i z mężką energią — Czytamy następnie w berlińskim *Börsen-Courrier*: »Jedna, nieznana nam jeszcze, a przytem wysoko uzdolniona artystka O. Boznańska zwraca na siebie szczególniejszą uwagę, gdyż przewyższa wysokim genialnym polotem nawet kolegów męzkich. Jest to istotnie nadzwyczajne zjawisko, z jakim nie mieliśmy sposobności spotkać się dotychczas. Zaiste, śmiało stawia ją można na czele jej koleżanek i kolegów, gdyż odznacza się nietylko znajomością techniki, lecz nadto utwory jej cechuje głębokie poczucie piękna, będące wyłącznie udziałem prawdziwych geniuszów. Koloryt utworów tej znakomitej artystki jest tak pociągający, iż przykuwa widza, podziwiającego niezmierną śmiałość pędzla, jak również niepospolitą oryginalność koncepcji. Bo nie są to bynajmniej techniczne sztuczki; przeciwnie, obrazy jej posiadają jakąś siłę potężną, śmiałość artystyczną wycierającą z owych dzieł sztuki, wykonanych słabą ręką kobiety. Tą koncepcją artystyczną Boznańska o wiele przewyższa utalentowaną swą rodaczkę Annę Bilińską, gdy bowiem ta ostatnia posiada tylko siłę i wiedzę malarską, pierwsza olśniewa, przyciąga swoją treścią tajemniczą i głęboką. Wszelako zbyt wesoło nie patrzaj na świat utwory p. Olgi Boznańskiej; obraz »Marzenie«, przedstawiający młodą, w głębokiej zadumie pogrążoną dziewczeczkę, łączą w sobie jednocześnie wybitny talent malarski, trafność pomysłu i doskonałą przejrzystość tła,

tak, że lubo bohaterka jest melancholijna i rzuwna, bije z niej przecież jakaś światłość, jakieś ciepło słoneczne... Cel do którego dąży artystka, jest widoczny i zapewne zaprowadzi ją daleko. Dwie prace umieszczone przez nią na międzynarodowej wystawie już zjednały jej wielu zwolenników, obecne wywołują niemal entuzjazm wśród publiczności. Ze pochwały, które przytoczyliśmy tak w poprzednich zeszytach *Świata* jak i w dzisiejszym nie są czczym frazesem, świadczy najlepiej odezwa Monachijskiego Stowarzyszenia Artystycznego uwalniająca raz na zawsze naszą młodą i wielce utalentowaną artystkę od sądu jury przy przyjmowaniu jej obrazów na wystawę. Jest to zaszczyt pierwszorzędnego znaczenia. Przepisujemy tu wspomnianą odezwę dosłownie: *«Müncher Künstler-Genossenschaft unter dem Allerhöchsten Protectorate S. K. Hoheit des Prinzregenten Luitpold, von Bayern. — Mademoiselle, Nous avons l'honneur de vous inviter à participer à notre Exposition Annuelle de 1893, en vous faisant part en même temps, que vos oeuvres ne seront pas soumises à l'examen du jury d'admission. Le Comité prendra à sa charge les frais de transport (aller et retour) ainsi que les frais spéciaux, occasionnés par votre envoi à la frontière, et à Munich. Dans l'espoir... i t. d.»* Podpisano: *Le Comité-Directeur*: Le président: *E. v. Stieler*. Le secrétaire: *Karl Albert Bauer*.

* Wielce utalentowani malarze, Wojciech Kossak i Jan Styka, zawarli umowę z konsorcjum budowy panoramy na wystawie krajowej we Lwowie, o wymalowanie dzieła przedstawić się mającego w dekoracyjnym uroku, właściwym tego rodzaju produkcjom artystycznym. Nie wątpimy, że dzieło to budzić będzie powszechne zajęcie i stanie się dobrym interesem dla akcyonariuszów.

* Na konkursie na budynki wystawy krajowej we Lwowie, otrzymali nagrody: Zygmunt Gorgolewski za projekt pawilonu sztuk pięknych; Franciszek Skowron za projekt sali koncertowej pierwszą nagrodę i Władysław Ekielski drugą; Zygmunt Dobrowolski za projekt pawilonu szkolnego; Dyonizy Krzczkowski za projekt pawilonu dziennikarskiego; Zygmunt Dobrowolski za pawilon rolnictwa; Jan Zawiejski za pawilon leśno-łowiecki pierwszą, a Wirski drugą nagrodę; Alfred Kamieniobrodzki otrzymał pierwszą nagrodę za projekt pawilonu przemysłowego, drugą zaś Kazimierz Piekarski.

* Opera Henryka Jareckiego *«Barbara Radziwiłłówna»*, wystawiona po raz pierwszy na scenie teatru hr. Skarbka w dniu 18 marca i następnie od tego czasu kilka razy grana z powodzeniem, jest najważniejszym *événement du jour* w naszych sferach muzycznych. *Świat* w jednym ze swych przyszłych zeszytów pomieści ocenę krytyczną tego dzieła i portret kompozytora.

* Odczyt Dra Stanisława Estreichera *«O Mikołaju Sępie Szarzyńskim»*, zgromadził w d. 18 marca do krakowskiej sali radnej w ratuszu bardzo liczną i wyborową publiczność. Prelekcja utalentowanego krytyka nietylko świadczyła o głębokim wnikiwaniu w ducha poety i epoki, na tle której rysuje się jego postać, ale uderzało także szerokością widnokręgu porównawczego, w pośród którego sylweta Szarzyńskiego wystąpiła dla słuchaczy jaśniej, wypukle i zrozumialej, niż w opracowaniach innych badaczy i historyków literatury polskiej.

* Wydział krajowy przyczyni się do kosztów pogrzebu ś. p. Teofila Lenartowicza sumą 500 złr. Komitet zajmujący się sprowadzeniem zwłok poety powiększył znacznie swe szeregi. Kierownictwo części muzycznej programu pogrzebowego powierzone zostało p. Wiktorowi Barabaszowi, dyrektorowi krakowskiego Towarzystwa muzycznego.

* Teodor Jeske-Choiński w przejeździe ze Lwowa do Warszawy, gościł w Krakowie dni parę.

* Projekt kontraktu o przedsiębiorstwo teatralne, z uchwalonemi przez komisję zmianami, doręczony został komisji znawców, złożonej tym razem ze Stanisława Koźmiana, Karola Estreichera, Michała Bałuckiego i Wincentego Wdowiszewskiego. Umowa zatem będzie przedmiotem dyskusji w pełnej Radzie miasta dopiero po świętach Wielkiejnocy.

* *«Flirt»* Michała Bałuckiego w przekładzie rosyjskim ma się wkrótce ukazać na scenie teatru rządowego w Moskwie.

* Wspominaliśmy już, że ocenę wybitniejszych sztuk oryginalnych, przedstawionych w roku bieżącym na scenie krakowskiej pomieścimy w osobnym artykule w końcu sezonu, dziś zatem nie potrzebujemy mówić obszernie o *«Jakobie Warce»* Daniela Zglińskiego. Zaznaczmy tylko, że dramat wymieniony wykonany był na naszej scenie nader starannie. P. Śliwicki, młody artysta pracujący z zapalem i niemal w każdej kreacji swej wznośzący się na coraz wyższe szczeble sztuki, grał tym razem wyjątkowo pięknie. Powieździelibyśmy *znakomicie*, gdybyśmy się nie lękali nadużywania superlatywów. P. Edmund Rygiel (na którego benefis sztuka utalentowanego pisarza ukazała się przed kinkietami) wybornie odtworzył ciekawy i skomplikowany charakter bohatera utworu. W rolach drugorzędnych wyróżnili się zaszczytnie: pani Wolska, oraz panowie: Siemaszko, Solski i Ruszkowski. — Stara *«Deborah»* Mosenthala — wznowiona na benefis p. Śliwickiego — nie zainteresowała słuchaczy, bo już obecnie tego rodzaju sentymentalno-ckliwe na pół-tragedye, a na pół-melodramaty, inteligentnej publiczności zająć nie są w stanie. Dla Volter lub dla Ristori (która *«Deborę»* także grywała) można i warto było przed laty ponudzić się trochę, ale do ról popisowych w lichej sztuczce nie ma już teraz artystek takiej jak one miary, więc nie dziwimy się wcale widzom, którzy w ciągu przedstawienia opuszczali salę teatralną, ażeby głosem ziewaniem nie zarazić słuchaczy, a nawet i aktorów, spełniających swój obowiązek sumiennie, ale jakby za pokutę. — W *«Mężu z grzeszności»*, w roli Wandy, wystąpiła na scenie naszej pani Anna Nowina. Debiutantka posiada powierzchowność ujmującą. O jej przyszłości artystycznej trudno wyrokować po jednym występie, kępowanym z natury rzeczy obawą. — O *«Wernyhorze»* i przedstawieniu na korzyść J. Galasiewicza, mówić będziemy w następnym numerze.

* Teatr krakowski przedstawi w ciągu bieżącego miesiąca kilka sztuk oryginalnych: *«Ostatni akt»* dramat T. J.-Choińskiego, *«Książę Henryk»* dramat Bronisława Grabowskiego (na benefis p. Kalużyńskiej), *«Fredzia»*, komedję S. Graybnera (na benefis p. Wolskiej), *«Hrabiego Jerzego»*, dramat S. Graybnera (na benefis pani Siemaszkowej), *«Syna Bohdana»*, dramat L. hr. Starzeńskiego (na benefis p. Wernera) i *«Stare długi»*, komedję Maryana Gawalewicza. To ubieganie się o utwory polskich autorów zasługuje na gorącą pochwałę.

* We Lwowie na scenie teatru hr. Skarbka przedstawiono *«Ostatni akt»*, dramat powieściopisarza, Teodora Jeske-Choińskiego. Recenzenci wyrażają się o tym utworze bardzo pochlebnie.

* *«Już go mam!»* krotchwila R. Ruszkowskiego, grana bardzo starannie na scenie teatru hr. Skarbka we Lwowie, cieszy się tam powodzeniem.

* Wieczór, urządzony w sali Tow. muzycznego na cześć J. I. Kraszewskiego — jakkolwiek nieliczną zgromadził publiczność — pozostawił po sobie bardzo miłe wspomnienie. Szkoda jednak, że wykonano na nim zbyt mało utworów pisarza, który grał długi prze-

ciąg czasu niezmiennie wybitną rolę w piśmiennictwie naszym i którego wpływ po dziś dzień jeszcze w literaturze polskiej odczuwać się daje.

* Bardzo interesujący popularny odczyt prof. Dra Napoleona Cybulskiego, na temat: *«Ćwiczenia gimnastyczne ze stanowiska lekarskiego»*, wygłoszony w auli uniwersyteckiej, zgromadził licznych słuchaczy.

* Minister oświaty zatwierdził uchwałę grona profesorów wydziału filozoficznego uniwersytetu Jagiellońskiego, rozszerzając *«veniam legendi»* docenta literatury polskiej, Dra Józefa Tretiaka, na język ruski i literaturę ruską.

* Sprawa budowy nowego gmachu dla wydziału lekarskiego, pomyślnie rozwiązana została w sferach decydujących. Powstanie on na gruntach, należących do szpitala św. Łazarza i pomieści sale wykładowe: anatomii patologicznej, patologii ogólnej i doświadczalnej, medycyny sądowej, fizjologii, farmakologii i farmakognozyi. Plany wypracował inżynier Józef Sare. Koszt budowy (nie licząc wartości gruntu) wyniesie 285.000 złr. Roboty rozpoczyna się wkrótce. Front dwupiętrowego gmachu wynosić ma 90 metrów, a skrzydła boczne po 40 m. długości.

* Komitet warszawskiego Tow. muzycznego przyznał nagrodę w kwocie 180 rubli (z zapisu ś. p. Józefa Kuryerowa) Władysławowi Żeleńskiemu, za muzykę baletową do opery *«Goplana»*, jako najlepszą ze skomponowanych u nas w ciągu ostatnich lat sześciu.

* Otrzymujemy następujący komunikat: *«Słowianie zamieszkali w Wiedniu urządzają d. 29 i 30 maja b. r. przy udziale pierwszorzędnych sił artystycznych, wielką uroczystość dla uczczenia setnej rocznicy urodzin wielkiego apostoła zgody słowiańskiej, pieśniarza «Córy Sławy», Jana Kollara. Inicytorowie projektu zwołali już komitet, w którym zasiadają przedstawiciele wszystkich Słowian, w Wiedniu przebywających i który wybrał ze swego łona, jako reprezentantów w stosunkach zewnętrznych, pp. Dra Jana Lenocha i Radosława Pukla. Kancelarya komitetu urzęduje w lokalu «Słowiańskiego stowarzyszenia śpiewackiego», (Slavischer Gesangverein), I, Tiefergraben, Nr. 11».*

* Znany w mieście naszym zakład fotograficzny ś. p. Walerego Rzewuskiego, przeszedł w tych dniach na własność p. Józefa Sebalda.

* Piękne wydawnictwo F. Šimáčka: *«Zemská jubilejní výstava v Praze»*, prowadzone jest dalej z równą starannością. Obecnie opublikował prasy drukarskie zeszyt dwudziesty trzeci.

* *«Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana»* Sikorskiego, dobiegła do sześćdziesiątego drugiego zeszytu i zatrzymuje się na wyrazach rozpoczynających się na *Blac*. Jak i w poprzednich zeszytach wydawnictwo prowadzone jest z tą samą starannością i łdem.

* W papierach pozostałych po J. I. Kraszewskim — które obecnie do porządku doprowadza brat jego, Kajetan Kraszewski, znany zaszczytnie powieściopisarz — znalazły się bardzo ciekawe urywki pamiętnikowe i poezye, wysokiej wartości.

* Ukazał się już drugi przekład rosyjski *«Pójdźmy za nim»*, Henryka Sienkiewicza. Pomieścił go w swym feletonie *Kijewlanin*.

* Bardzo ładną nowelę pani Poradowskiej p. t.: *«Idylle mazowieńskie»*, pomieścił w łamach swoich zeszyt z 15 marca *Revue des deux Mondes*.

* Dwumiesięcznik *La vie Contemporaine* drukuje w tłumaczeniu nowellę Henryka Sienkiewicza *«Lux in tenebris lucet»*.

* Sprostować musimy błąd drukarski, jaki się zakradł w Nrze 6 *Świata* na str. 120, po nazwisku artysty, którego piękne *«studium»* w odpowiedniej reprodukcji tamże umieściliśmy. Zamiast *«Grodzcki»* czytać należy: *Aleksander Grodzicki*.

* Trzeci zjazd prawników i ekonomistów polskich odbędzie się w Poznaniu dnia 11, 12 i 13 września 1893 r. Rozpocznie się w poniedziałek d. 11 września, o godzinie 9^{1/2} solennym nabożeństwem, poczem o godz. 10^{1/2} pierwsze ogólne zebranie. Po południu od godziny 3^{1/2} poszczególne zebrania w sekcjach, które również obradować będą następnego dnia, t. j. we wtorek d. 12 września od rana do południa. We wtorek po południu od godziny 4 wspólne zebranie wszystkich sekcji w celu obrad nad *kwestją małej własności ziemskiej*, powszechny budzący interes. W środę d. 13 września o godz. 11 ogólne zebranie, o godz. 4 wspólny obiad. W czwartek dnia 14 września urządzone będą wycieczki do nowych osad włościańskich lub miejscowości przedstawiających naukowy interes. Obrady toczyć się będą w poszczególnych sekcjach, a mianowicie: na *wydziale prawniczym*: w sekcji prawa publicznego i prywatnego; na *wydziale ekonomicznym*: w sekcji dla ekonomii rolniczej, praw socjalnych, stowarzyszeń i spółek i spraw emigracyjnych. Wstępne na zjazd wynosi 10 marek, za co każdy uczestnik otrzyma: dziennik zjazdu, wolną kwaterę w mieście, i wolną wycieczkę. Szczegółowy program zjazdu, jakoteż ewentualne zmiany w powyższym zakresie ogłoszone będzie w lipcu b. r. Tymczasem komitet uprasza wszystkich prawników i ekonomistów, którzy na zjeździe z referatami wystąpić zamierzają, aby zgłoszenia i tematy przesyłali na ręce Dra T. Kalksteina w Poznaniu najpóźniej do 15 maja b. r. Tenże udzielać też będzie objaśnień i informacji na wszelkie zapytania dotyczące zjazdu. W niedzielę wieczorem d. 10 września o godzinie 8 wspólne zebranie w celu zaznajomienia się w miejscu, które swego czasu bliżej będzie oznaczone. W imieniu komitetu zjazdu: komitet ścisły: St. Cegielski, poseł, Bern. Chrzanowski, adwokat, Fr. Dobrowolski, Dr Zygm. Dziembowski, adwokat, poseł i radny miasta Poznania, Dr Tad. Jackowski, Dr T. Kalkstein, Dr Rom. Komierowski, poseł, Dr Kuształan, W. Moty, Dr Wit. Skarżyński, Dr Zygm. Szuldrzyński, Dr Tad. Szuldrzyński, Wojc. Trąpczyński, adwokat, Adam Wołński, adwokat, Dr Jan Żółtowski, poseł. Nadto powyżej wymieniony komitet ścisły rozesłał do wybitnych prawników i ekonomistów we wszystkich dzielnicach Polski list następujący: »W Panie! Z polecenia Komitetu III Zjazdu Prawników i Ekonomistów polskich, podpisany Komitet ścisły tegoż Zjazdu ma zaszczyt W Pana na Zjazd rzeczony zaprosić, a przytem zawiadomić, że prezesem Komitetu III Zjazdu Prawników i Ekonomistów polskich wybrany został hr. August Cieszkowski, wiceprezesami: Dr Roman Komierowski i Dr Witold Skarżyński, skarbnikiem Dr Kuształan, a sekretarzami: Bernard Chrzanowski, adwokat, Dr Kalkstein i Dr Jan Żółtowski. Wstępne na Zjazd nadesłane być winno na ręce skarbnika Dra Kuształana. (Bank Związku Spółek Zrobotkowanych — Poznań)«.

BIBLIOGRAFIA.

Adam Krechowicki. — *Najmłodszy*. — Powieść. Tomów dwa. — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

O pięknej i zajmującej, powyżej wymienionej powieści, autora coraz bardziej poczytnego i popularnego, a szanującego warunki artystyczne pióra, damy wkrótce obszerniejsze sprawozdanie, dziś zaznaczając tylko ukazanie się utworu na widok publiczny w książkowym wydaniu.

Zofia Kowerska. — *Dzidzia* (*»Lew i mysz«*). — *Bezdzielnia*. — *»Z poezji szpitala«*. — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Tom powyższy składa się z czterech wzię-

czych opowiadań utalentowanej autorki, której wszystkie prace — jak i obecna — odznaczają się uczciwą tendencją, ciepłem głębszych i szczerych przekonań, oraz poprawnością językową.

»Na okolo ziemi«. 1888—1889. Wrażenia i poglądy. Napisał Karol hr. Lanckoroński. — Z rycinami w tekście i dwiema geograficznymi tablicami. — W Krakowie. Gebethner i Spółka. 1893.

Literatura podróży w języku polskim jest dotąd bardzo uboga, to też każde oryginalne dzieło z tego zakresu witamy życzliwie, zwłaszcza gdy pod względem wydawniczym przedstawia się tak dodatnio, jak książka leżąca przed nami. Zdobia ją bardzo wdzięczne drobne ilustracje, będące najniezawodniej szkicami i notatkami z natury, jak treść jest seryą notatek i obrazków, kreślonych na kolanie, pośpiesznie, niemal codziennie, w pamiętniku podróży. Z błyskawicowym odtworzeniem wrażeń łączą się jednak nieraz i głębsze uwagi, rozświecające udatnie przelotne zarysy rzeczy i ludzi. Język grzeszy tu i owdzie wyrażeniami prowincjonalnymi i zwrotami obcymi, ale posiada odrębność stylową i barwność kolorystyczną, wcale interesującą.

O królach i bohaterach polskich. Opowiadania z dzieł Karola Szajnochy. W Krakowie, 1892. Wydawnictwo Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie.

W zbiorze tym umieszczono w skróceniu arcydzieło Szajnochy: »Jadwiga i Jagiełło«, tudzież takie klejnoty, jak: »Bolesław Chrobry«, »Św. Kinga«, »Władysław Łokietek«, »Barbara Radziwiłłówna« i »Król Jan III«. Rzeczy powszechnie znane, a nazwisko autora — uwielbiane oddawna przez całą Polskę — czyni zbędny jakiegokolwiek uwagi. Wypada tylko podnieść zasługę firmy, że w tanich wydaniach próbuje rozpowszechnić wśród szerszych warstw dzieła tak wypróbowanej wartości; jest to czynem prawdziwie obywatelskim. Odczytanie opowiadań Szajnochy bardzo pobudzi do miłości ojczyzny, niż dziesiątki przemówień i transparentów patryotycznych. Polecamy kupić tę książkę do każdej czytelni ludowej, polecamy ją na podarunki dla młodzieży, polecamy jako skuteczny środek propagandy patryotycznej wśród sfer małomiasteczkowych; inteligencja, znająca już oczywiście Szajnochę, ma zaś sposobność kupienia sobie na własność pism jego za tanie pieniądze; wszak tego autora można z przyjemnością odczytać kilka razy.

Gurney, Meyers i Podmore. — *»Dziwy życia«*. Z francuskiego wydania przełożył I. K. Potocki. — Z przedmową Karola Richeta. — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. — 1892.

(g. w.). Staraniem angielskiego Towarzystwa badań psychologicznych wyszła przed dwoma laty książka p. t. *»Dziwy życia«* (*Phantasms of the living*), zawierająca w sobie długi szereg opowieści o zjawiskach, które w życiu codziennym przywykliśmy uważać za nadprzyrodzone, a którym nauka dzisiejsza pragnie nadać racjonalne wyjaśnienie i podstawy w niezbadanych dotąd właściwościach ludzkiego ducha. Tu należą tak zwane: przenoszenie się myśli na odległość, sympatie dusz, widzenia, przeżycia i ukazywanie się osób zmarłych lub konających. Oryginał angielski mało przystępnym jest dla mas szerszych, nawet w samej Anglii, tak ze względu na olbrzymie rozmiary dzieła, jak i na jego cenę księgarską nader wysoką. Dla tego tłumacz polski — mówiąc nawiasem przekładający wzorowo — przyswoił naszemu piśmiennictwu wydanie francuskie, opracowane i skrócone przez p. Marillera, sekretarza paryskiego Towarzystwa psychologii fizjologicznej. Za Richet'em powtórzmy, że »dzieło nie jest doskonałem«, ale jest to krok »na drodze stanowczo nowej«, a tak mocno

zaciekawiającej nie tylko serca, ale i umysły, że prawdopodobnie książka o drodze tej traktująca znajdzie bardzo licznych czytelników. Wskazaniem jest jednak poniekąd: zbyt młodym i nerwowym »Dziwów życia« nie dawać do ręki.

NEKROLOGIA.

* W dniu 16 marca, we Lwowie zmarł Józef Supiński, jeden z najznakomitszych pisarzy polskich na polu nauk społecznych, b. oficer wojsk polskich z r. 1831, członek krakowskiej Akademii umiejętności, obywatel honorowy miasta Lwowa, doktor praw *honoris causa*, członek honorowy wielu Towarzystw. Ś. p. Józef Supiński urodził się w d. 21 lutego 1804 we wsi Romanów pod Lwowem. W roku 1816 wziął go z sobą do Warszawy wuj jego, generał Mroziński i tu w uniwersytecie Aleksandryjskim ukończył on liceum i wydział prawno-administracyjny. W r. 1826 jako magister prawa wszedł do komisji spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego, w której aż do r. 1830 pełnił obowiązki sekretarza sekcji. Po wybuchu wojny w r. 1830 był Supiński przez czas niejaki jednym z sekretarzy dyktatora Chłopskiego, poczem służył wojskowo. W r. 1831 udał się do Francji i tam pracując na utrzymanie swoje i rodziny, doszedł stopniowo do urzędu naczelnika buchalterii w kasie departamentowej w Lyonie. Później był dyrektorem jednej z fabryk pod Paryżem. W roku 1844 powrócił do Galicji i osiadłszy we Lwowie, został urzędnikiem galic. Kasy Oszczędności. Literatura, poezja i ekonomia polityczna były od lat młodych ulubionymi jego studiami. Kiedy był jeszcze słuchaczem uniwersytetu, napisał poemat »Karpaty«, którego rozbiorowi poświęcił Brodziński kilka prelekcji. Później napisał dwie tragedie wierszem, z których jedna w 5 aktach była przedstawiona na deskach teatru warszawskiego i drukowana pod tytułem: »Aria« (1828), druga pod tytułem: »Regulus«, razem z pierwszą przedrukowaną została we Lwowie w r. 1861. Powróciwszy do Galicji, był współredaktorem *Dziennika Narodowego* w r. 1848 — później pisywał do innych pism artykuły treści społecznej. Myśl ogólna filozofii powszechnej jest pierwszym jego dziełem ważniejszym na tem polu. Praca ta może być policzona do najznakomitszych, z powodu oryginalnie pomyślanego systematu. Jest to wykład filozofii społecznej, nauki o układzie społeczeństwa, o jego siłach, pracach i przeznaczeniu. We dwa lata później wydał »Szkolę polską gospodarstwa społecznego« (Lwów, T. I. w r. 1862; T. II. w r. 1865), dzieło znakomite, obejmujące wykład ekonomii politycznej. Dzieło to utrwaliło powagę i sławę Supińskiego, jako pisarza na polu nauk społecznych. Prócz tego pisał Supiński wiele. Dzieła jego wyszły w r. 1872 w pięciotomowym wydaniu Wilda we Lwowie, w drukarni Zakładu im. Ossolińskich. Obszerniejszy artykuł o nieboszczyku wraz z portretem, pomieści *»Świat«* w jednym z przyszłych numerów.

* W majątku swym Piotrowicach w Lubelskiem zmarł w siedmdziesiątym czwartym roku życia Jan Antoni hr. Tarnowski, obywatel wielkiej prawości, człowiek pełen poświęcenia dla dobra ogólnego, wielce bezstronny, pod pozorami zewnętrznego chłodu, kryjący znaczne i ciepłe serce. Pisma warszawskie pomieszczały jego prace z zakresu gospodarstwa, wzorowym bowiem był rolnikiem. Pozostawił po sobie w rękopisie pamiętniki. Cześć jego pamięci!

* W d. 15 marca zmarł w mieście naszym drugi wiceprezydent Krakowa ś. p. Michał Schmidt, ceniony jako człowiek sympatyczny, oraz czynny i pracowity urzędnik.

Dodatek do Nr. 7 „Świata“ (z d. 1 Kwietnia).

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że stanowcza uchwała komitetu pomnika A. Mickiewicza rozstrzygająca konkurs na kantatę, brzmi w sposób następujący:

- a. Pierwszą nagrodę (200 złr.) otrzymał wiersz JERZEGO BORSZYCKIEGO (K. M. GÓRSKIEGO).
- b. Drugą nagrodę (150 złr.) otrzymał wiersz LUCYANA RYDLA.
- c. Trzecią nagrodę (100 złr.) otrzymał wiersz JANA KASPROWICZA.
- d. Czwartą nagrodę (50 złr.) otrzymał wiersz KAROLINA WANDALINA (K. ŁEPKOWSKIEGO), — który tu podajemy.

NAGRODA IV. 50 złr.

Nr. 8. Motto: *«Morituri te salutant».*

Pod królewskimi śpiąca szkarłaty,
Gdzie wodze Twój drzemia,
W weselne dzisiaj przystroj się szaty
Posępna mogił ziemio!

*

Przywiedź zdobyte laury spiżowe,
Monarszej dobądź korony,
By tego barda uwieńczyć głowę,
Który pokochał miliony.

*

Spiesz ziemio polska z Twoimi syny
Jeden Mu okrzyk wznieść:
Za nieśmiertelnej pamięci czyny
O cześć Ci wieszczu, cześć!

.....

Przybywaj Litwo, zrzuć swe okowy,
Z sercem przybywaj wdowiem;
Ty pierwsza daj Mu wieniec laurowy,
Boś życiem Jego i zdrowiem.

*

Do niskiej chaty biednego siola,
Gdzie dola ludu ciemna,
Oświaty z sobą sprowadź anioła
Z nad brzegów Wilii i Niemna.

*

Przybywaj Litwo i kwiatów woń
Z zbożowych przynos łanów,
Wesele nieś Mu z kowieńskich błon —
Tęsknotę z Twych kurhanów.

Niebios Królowo co w Częstochowie
Polskiej przyświecasz idei,
Miał laurów położyć na Jego głowie
Świetlany promyk nadziei:

*

Że w czci zostanie Polsko Twe imie,
Że wróg nie zdoła Cię zgnieść,
Że się obudzisz śpiący olbrzymie
Hymn zmartwychwstania wznieść!

KAROL WANDALIN (K. ŁEPKOWSKI).

OCZEKIWANIE.

Kto jesteś, maro z wybladłym obliczem,
Z zapatrzonemi w ciemną dal oczyma,
Z spojrzeniem oczu dziwnym, tajemniczym?
Dłoń twa pochodnię wciąż gasnącą trzyma,
A wciąż jej płomień zapala się cudem
W chwili, gdy iskra ostatnia już ginie;
Ktoś ty, co, stawiając kroki z takim trudem,
Stąpasz po tylu nadziei ruinie?

Zda się, gorącą krwią wre serce twoje,
Jednak obecne mrozisz lodem chwile;
W nowego życia kołaczysz podwoje,
A kroczysz ciągle po świeżej mogile —
I powstrzymując łzy płynące skrycie,
W serc głębie sącząc po kropki nadzieje,
Umierające moc twa zbawia życie,
A wszystko na twej drodze kamienieje.

Gdzie stąpisz, wędnie kwiat na bujnej niwie,
I kłosów ziarno ginie jak w pustyni,
A skarby, które zbierasz ukwapliwie.
Chowasz zazdrośnie w okowanej skrzyni.
I chociaż błaga łaski i jałmużny
Tum, dzisiejszego dnia nędzą gnębiony,
Ty ani grosza nie dasz z dłoni próżnej,
Choć na dni przyszłe zagarniasz miliony.

Krainę w dali ukazując cudną,
Przez kamieniste prowadzisz obszary,
A siły nie dasz, kiedy iść zbyt trudno,
Rzucasz na drodze ludzi małej wiary,
Zwątpiałych, smutnych nie cieszysz nadzieją,
Upadłym miotasz urąganie w oczy,
Niech giną, którzy cierpieć nie umieją,
Ani dbasz, że się wielu w przepaść stoczy.

O, za te skarby, których tam jest tyle
W nienarodzonych dni i lat pomroku,
Dziś daj odetchnąć piersi choć na chwilę
I łzy te otrzyj, co tak palą w oku —
I chociaż słaby przedsmak spuść przyszłości
Na znak, że wszystko moc twa przeinaczy,
Niech jeden promyk jaśniejszy zagości
W tej strasznej nocy, w obecnej rozpaczy.

Bo kto wie, jeśli niezblagana zima
Zanadto wewnątrz ziemi tej wyziębi,
Czyli mdła dusza człowiecza przetrzyma
Iskrę, tak słabo tlejącą w jej głębi,
A kiedy z wiosną zabrzmi głos anioła,
Oczekiwane niosąc zwiastowanie,
Zamarły człowiek czy zbudzić się zdoła
I do nowego życia zmartwychwstanie?

BRONISŁAW GRABOWSKI.

KRONIKA.

* Udział naszych instytucyj naukowych w wystawie krajowej zapowiada się świetnie. Dyrekcyja wystawy otrzymała właśnie od rektora uniwersytetu Jagiellońskiego pismo, oświadczające, iż uniwersytet pragnie gorąco wziąć udział w wystawie r. 1894, «ażeby przypomnieć cywilizacyjne zasługi tej najstarszej szkoły polskiej, tudzież stwierdzić jej postęp w ostatniej epoce odrodzenia, w ciężkich warunkach zdobyty». Szczegółowy program udziału uniwersytetu w wystawie ułożyła już podobno komisya w tym celu wybrana. — Akademia umiejętności nie usuwa się też od współudziału. Zamierza ona wystawić komplet swoich publikacyj (około 400 tomów), wraz z przedstawieniami graficznymi, wykazującymi, o ile dotąd spełnić zdołała główne swoje zadanie, polegające na badaniu rzeczy polskich; dołączony będzie także obraz graficzny stosunków Akademii z instytucjami naukowymi w kraju i za granicą. Wreszcie wystawić zamysła Akademia w oddziale ruchu wydawniczego obraz statystyczno-graficzny piśmiennictwa polskiego w ostatnich stu latach (1795 do 1893). Jest to przedsięwzięcie rzeczywiście olbrzymie, przynoszące zaszczyt instytucji. — Zarząd Towarzystwa pedagogicznego oświadczył także gotowość urządzenia międzynarodowej grupy środków naukowych (w dziale szkół ludowych). Będzie to zaś dlań tem łatwiejszem, iż pomieniony zarząd postanowił obecnie przy zakupie się mającym domu nauczycielskim założyć muzeum pedagogiczne w połączeniu z międzynarodową wystawą środków naukowych.

* Komitet, zajmujący się urządzeniem pogrzebu dla ś. p. Teofila Lenartowicza w grobach zasłużonych na Skałce, wybrał na posiedzeniu z d. 27 marca prezydium, w skład którego weszli, jako przewodniczący: Adam Asnyk; jako zastępcy: Michał Bałucki i Juliusz Kossak; jako sekretarz Walery Eljasz. Członkowie komitetu podzielili się na sekcje: skarbową, techniczno-artystyczną, muzyczną i programową. Czynność wszystkich tych sekcji jest już w biegu. Nie wątpimy, że fundusze potrzebne na urządzenie żałobnej uroczystości wpłynąć zaczną.

* Koncert «Lutni» na dochód restauracyi katedry na Wawelu, przepełnił salę «Sokoła».

* Komisya historii sztuki Akademii Umiejętności odbyła posiedzenie d. 23 lutego, oraz 2 marca b. r. pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego. Prof. Władysław Łuszczkiewicz uzupełnił podaną na przeszłym posiedzeniu wiadomość o kościele drewnianym św. Bartłomieja w Mogile z r. 1466. Prof. M. Sokołowski wniósł komunikat p. Hermana Ehrenberga z Królewca o pobycie architektki włoskiego Camillusa w Polsce, a mianowicie o współudziale tegoż w budowie forticy Kamieńca podolskiego za czasów Zygmunta I. Do komunikatu tego dołączone zostały dwa dokumenty z archiwum królewskiego. P. Lepszczyński czytał dalszą część rozprawy p. t.: *Studia nad miniaturami kodeksu Baltazara Behema*. Po skreśleniu życiorysu Behema, autor roztrząsał pytanie, gdzie powstały te miniatury i na podstawie szerszej analizy, tudzież ich

stosunku do pisma doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej powstać musiały w Krakowie. Szczegółowe porównanie pojedynczych części uzbrojenia i stroju w scenach tych miniatur z inwentarzami, dokumentami współczesnymi i z zabytkami sztuki plastycznej doprowadziły autora do tegoż samego przekonania. W toku omówienia ubiorów, zastanowił się prelegent obszerniej nad zwyczajami z początkiem XVI wieku w Krakowie, dotknąwszy zwyczajów na strzelnicy i postaci błaznów. Przedstawienia i stroje miniatur, zdaniem autora, nie są wytworem fantazyi, ale wzięte z życia, dają nam obraz współczesnego Krakowa z jego właściwościami lokalnymi, co nie przeszkadza, że artyście dostarczyły uzupełniających wzorów Niemcy, a w szczególności Norymberga. Charakter strojów samych wskazuje na przełom z XV do XVI wieku, jako na datę powstania miniatur. Na rozbiórze właściwości kolorytu miniatur zakończył autor pierwszą część swej pracy, odczytanie dalszego jej ciągu odłożono do następnego posiedzenia. W ożywionej dyskusji wzięli udział pp.: Łuszczkiewicz, Sokołowski, Piekosiński, Hendel i autor. — Na posiedzeniu dnia 2 marca Jerzy hr. Mycielski odczytał wiadomość o trzech grobowcach katedry gnieźnieńskiej, mianowicie Jana Gruszczyńskiego, arcyb. Andrzeja Boryszowskiego i Jana Łaskiego, wzniesionych przez Jana Łaskiego († 1531), który wracając z soboru laterańskiego r. 1515 przez Węgry, zamówił w Granie aż 7 nagrobków z czerwonego marmuru dla katedr gnieźnieńskiej, krakowskiej i kujawskiej. W dyskusji prof. Maryan Sokołowski zastanawiał się nad znaczeniem pomników herbowych, które w Węgrzech są szczególnie rozpowszechnione. Następnie p. Leonard Lepszczyński czytał dalszy ciąg *Studjów nad miniaturami kodeksu Behema*, a mianowicie o właściwości rysunku w narysowaniu postaci ludzkiej, draperyi, zwierząt, pejzażu, ornamentu i t. p. kładąc główny nacisk na powinowactwo artysty z mistrzami szkoły flamandzkiej, ale wykazując zarazem, że tak znajomość bliższa wzorów Schongauerskich, jak szkoły frankońskiej lub wreszcie ślady, choć prawdopodobnie nie bezpośredniego wpływu włoskiego, przemawiają za dłuższą wędrówką artysty, która — wyrodziła w nim tę różnorodność w pojęciu lub naśladowaniu form artystycznych — i mogła prowadzić go wzdłuż Renu od źródeł, aż do ujścia. Wreszcie rozbiór stron technicznych wykazał, że wszystkie miniatury wyszły z pod jednej ręki.

* Warszawski *Tygodnik Ilustrowany* poświęcił niemal cały swój przedostatni zeszyt Józefowi Błizińskiemu, z powodu dwudziestej rocznicy przedstawienia na scenie Teatru Romaitości «Marcowego Kawalera», jak wiadomo, jednego z arcydzieł naszego sympatycznego komedyopisarza.

* Donoszą nam z Paryża: «Bawi tu obecnie J. Brandt i W. Czachórski. J. Fałat przybył do stolicy Francji, gdzie zamieszka na stałe. Witkiewicz nadesłał do salonu na *Champs de Mars* dwa krajobrazy. Jeden z nich przedstawia wnętrze lasu w zimie, drugi dyse wonią wiosny. Panna Jadwiga Zamoyska

namalowała duży portret księdza (w całej figurze) i wystawia go w salonie na *Champs Elysées*. Stanisławski powrócił do Paryża i przywiózł z sobą prześliczne studia stepów ukraińskich. Pięć z nich wystawia na *Champs de Mars*. Teodor Axentowicz, pomimo miodowych miesięcy pożycia małżeńskiego pracuje jak zawsze z wielkim zapalem i większem jeszcze powodzeniem. Salon na *Champs de Mars* mieć będzie dwa bardzo piękne jego portrety. Czesław Jankowski na kilka dni wyjeżdża do kraju i wkrótce przybędzie do Krakowa. Kazimierz Pochwalski przysłał dwa portrety na wystawę na *Champs Elysées*, gdzie ukażą się także dwa obrazy pani Godebskiej, przedstawiające kwiaty, oraz portret własny Olgi Boznańskiej».

* Na wielkim konkursie międzynarodowym w Brukselli, ogłoszonym przez Towarzystwo królewskie *Carillon*, Adam Müncheimer otrzymał za pięć kompozycyj muzycznych nadesłanych do tyluż sekcji (wszystkich sekcji było siedem) pięć nagród *pierwszych*, jedną z nich zaś jako *odznaczenie najwyższe*.

* W nadesłanych nam tomikach (od 63 do 68 włącznie) «Biblioteki Powszechnej», wydawanej nakładem W. Zukerkandla w Złoczowie, mieszczą się: Wergiliusza «Bukoliki» w przekładzie Józefa Lipińskiego, dwie pierwsze części Swift'a «Podróży Gulliwera» i Byrona «Wieżień Czylonn» w przekładzie Franciszka Morawskiego.

* *Académie Parisienne des Inventeurs* udzieliła tytułu członka honorowego Wojciechowi Kwiatkowskiemu z Poznania i nagrodziła wielkim złotym medalem jego przyrząd, zabezpieczający śpiących w letargu od pogrzebania żywcem. Rada miasta naszego powinna się o ten przyrząd postarać i co rychlej sprowadzić go do Krakowa, zwłaszcza, że cena jest niezmiernie niską, podobno nie przenoszącą 18 marek.

BIBLIOGRAFIA.

«Zbiór najulubieńszych pieśni polskich» na potrzeby parku młodzieży sądeckiej, zebrał Antoni Kowalski, nauczyciel w N. Sączu. — Nakładem autora. Drukiem Józefa Pisma w N. Sączu, 1893.

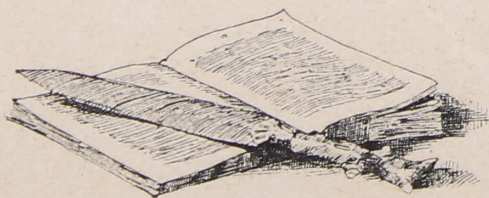
Dawno już nie spotkaliśmy się ze zbiorkiem pieśni tak starannie i uczciwie wybranym. Znać, że ręką i sercem wybierającego kierowała nie spekulacya, tylko zrozumienie potrzeby, duch obywatelski i miłość dzieł polskich. To też książeczkę tę śmiało polecić możemy nie samym tylko Sądeczanom.

Stanisław Belza. — «W górach olbrzymich». Warszawa. Gebethner i Wolf. 1893.

Jak inne opisy podróży tegoż samego autora i «W górach olbrzymich» odznaczają się żywym, barwnym, interesującym obrazowaniem.

Odpowiedzi od redakcyi.

Stojanowi w Krakowie. Pomysł bardzo ładny i zupełnie nowoczesny; ale wykonanie pozostawia dużo do życzenia. Nie wątpimy, że tę samą myśl obrobi pan w przyszłości ładnie, ale naprzód trzeba zawładnąć formą. Jednemu z wielu. Wiersze «Senne marzenie» i «Echo karnawałowe» drukowane nie będą.



X.X. MISYONARZE
NOWA WIEŚ MARCELA